

Barbara Faith

Fiesta

Rozdział 1

Był to najzimniejszy, od niepamiętnych czasów, wrzesień w tej części Meksyku. Wyjątkowe zimno panowało w Santa Catarina, małym miasteczku w Sierra Madres, gdzie Annmarie Bannister postanowiła spędzić wakacje. Kiedy wyjeżdżała z rodzinnego Orlando, termometry wskazywały prawie trzydzieści stopni ciepła, a ponieważ – jak mówiły słowa pewnej piosenki – Meksyk rozpościerał się na południe od granicy, spodziewała się jeszcze cieplejszej pogody. Ale niestety się zawiodła.

Zadrzała i mocniej otuliła się grubym, indiańskim swetrem. Przyszło jej na myśl, że może popełniła błąd przyjeżdżając do Santa Catariny, zamiast do jakiegoś tropikalnego, nadmorskiego kurortu, jak Puerto Yallarta czy Acapulco.

Planowała podróż do Meksyku od ponad roku. Chodziła nawet na lekcje hiszpańskiego, żeby przygotować się jak najlepiej do tej wyprawy. Nie mogła się zdecydować, dokąd jechać, aż do dnia, kiedy jeden z kolegów z lekcji hiszpańskiego przyniósł zdjęcia, które zrobił w górzystych regionach Meksyku. Oglądała je wszystkie z zainteresowaniem, a kiedy zobaczyła fotografie Santa Catariny, już wiedziała, dokąd pojedzie. Postanowiła, że celem jej wycieczki będzie to małe, górskie, malownicze miasteczko, któremu już dawno przeznaczono rolę pomnika kultury narodowej, mającego zachować atmosferę siedlisk hiszpańskich kolonizatorów. Dzięki temu sprawiało wrażenie bardziej meksykańskiego, niż którykolwiek z nadmorskich kurortów.

Decyzja o wyjeździe zapadła prawie siedem miesięcy temu. Uzgodniła z przełożonym, że wykorzysta swój dwutygodniowy urlop we wrześniu. Wyprosiła jeszcze dodatkowe dwa tygodnie urlopu bezpłatnego. Przez te siedem miesięcy intensywnie uczyła się hiszpańskiego. W lipcu radziła sobie już na tyle dobrze, że czytała w oryginale wszystko na temat Meksyku, co tylko wpadło jej w ręce.

W zeszłym tygodniu spakowała rzeczy, zamknęła mieszkanie i zjadła z rodzicami pożegnalny obiad. Kłócili się właściwie przez cały czas. Męczyło ją jakieś niewytłumaczalne poczucie winy, które ustąpiło miejsca uldze dopiero wtedy, kiedy się z nimi pożegnała.

Następnego dnia ruszyła swoim ośmioletnim samochodem na południe. Po czterech dniach dotarła do Santa Catariny i odnalazła pensjonat „La Quinta”, który polecił jej kolega z lekcji hiszpańskiego.

W „La Quinta”, gdzie panowała raczej atmosfera ogniska domowego niż eleganckiego hotelu, było dwadzieścia schludnych pokoi, połączonych zewnętrznym korytarzem z typowymi podcieniami, mała jadalnia i ogród pełen czerwonych kwiatów hibiskusa i drobnego kwiatostanu pnączy. Alejki schodziły się promieniście ku centralnie umieszczonej, ozdobionej liliami i fioletowymi dzwonekami fontannie. W ciągu dnia, kiedy świeciło słońce, a temperatura wzrastała do piętnastu stopni, pomiędzy kwiatami migotały, niczym złoty deszcz, setki żółtych motyli. Lecz ranki i wieczory były już bardzo chłodne.

Rano, kiedy schodziła do jadalni na śniadanie, Annmarie założyła aż dwa grube swetry. Usiadła przy stoliku w pobliżu kominka. Wtedy podeszła do niej kobieta w średnim wieku i spytała, czy może się przysiąść. Miała bardzo sympatyczny wyraz twarzy i fatalnie ostrzyżone włosy. Annmarie kiwnęła potakująco głową, a nieznajoma przysunęła sobie krzesło.

– Pani tu od niedawna, prawda? To wspaniały zakątek. Przyjechała pani na fiestę?

– Fiesta? – Annmarie pokręciła głową przecząco – Nie, nawet nie wiedziałam, że coś takiego ma się tu odbyć.

– W Meksyku zawsze jest fiesta – odpowiedziała kobieta z uśmiechem – ale ta jest wyjątkowa. Trwa zwykle dziewięć albo i dziesięć dni. Będą indiańscy tancerze, ognie sztuczne, parady, walki z bykami... Wszystko, o czym tylko można zamarzyć. Jestem Rose Cameron – dodała i wyciągnęła rękę w stronę Annmarie.

– Annmarie Bannister. Od jak dawna jest pani w Santa Catarinie?

– Już prawie rok. Mieszkam w jednym z pokoi z tamtej strony pensjonatu.

– A co pani tu robi? To taka mała miejscowość. Nie nudzi się tu pani?

– Nudzić się? – Rose roześmiała się. – Nie w Santa Catarinie. Tu jest zbyt wiele do zobaczenia i zbyt wiele do roboty.

– Co, na przykład? – spytała Annmarie z zaciekawieniem.

– Na przykład fiesta. Na przykład bazar w poniedziałek rano, kiedy Indianie schodzą z gór. Na przykład te sobotnie wieczory z orkiestrą grającą w parkowej altanie i tutejsze, flirtujące dzieciaki... – Rose przerwała i uśmiechnęła się do kelnerki, zamówiła kawę i znów zwróciła się do Annmarie.

– Jest tu kilkuset innych Amerykanów z północy. Jedni już na emeryturze, inni to pisarze, artyści. Część z nich przyjechała tu studiować sztukę, archeologię albo uczyć się hiszpańskiego. Mam tu mnóstwo przyjaciół. Raz albo

dwa razy w tygodniu zbieramy się na wspólną kolację. Ponadto – sporo czasu spędzam w miejscowym sierocińcu. Sprawia mi to dużo radości. Kocham te dzieci. Jak będę się tam wybierać, mogę panią zabrać ze sobą, jeśli ma pani ochotę to zobaczyć.

– Może kiedyś... – odparła Annmarie bez przekonania.

– Jeśli nie ma pani nic lepszego do roboty, to może zjadłybyśmy razem kolację, a potem mogłybyśmy pójść gdzieś posłuchać muzyki?

– Nie sądzę...

– „La Posada Catarina” to miły, mały lokal. W sam raz dla dwóch kobiet, które chcą wyjść gdzieś same, jeśli to właśnie panią niepokoi...

– Nie, nie o to chodzi... – Było to, rzecz jasna, kłamstwo.

Annmarie znalazła się w zupełnie obcym kraju, nie знаła miejscowych zwyczajów i wcale nie miała pewności, co powinna sądzić o takim samotnym wychodzeniu w nocy. Jednak z drugiej strony, skoro już jest w Santa Catarina, to z powodzeniem może wyskoczyć gdzieś wieczorem i rozejrzeć się trochę. Od tylu lat sama utwierdzała się w przekonaniu, że już najwyższy czas wyrwać się z miejsca, w którym została wychowana, aby przekonać się, jak wygląda reszta świata. Rodzice byli nadopiekuńczy w stosunku do niej i chociaż zawsze tęskniła za przygodami i podróżami, nie mogła nigdy wyzwolić się spod ich troskliwej, acz zniewalającej opieki.

Dwa lata temu przeprowadziła się do własnego mieszkania. Choć była już dorosła i samodzielna, rodzice ciężko to przeżyli. Matka bez przerwy płakała i wydzwaniała do niej po trzy razy dziennie. Ojciec nieustannie przestrzegał ją przed niebezpieczeństwami, jakie grożą samotnie mieszkającej kobiecie. Oboje sprzeciwiali się jej podróży do Meksyku, ale po raz pierwszy w życiu Annmarie postanowiła nie ustępować. A skoro już tu się znalazła, zdecydowała, że będzie się jednak dobrze bawić. Więc uśmiechnęła się do Rose i powiedziała:

– Dziękuję za zaproszenie, Rose. Proponuję, żebyśmy mówiły sobie po imieniu. Z przyjemnością zjem z tobą kolację, a potem pójdziemy gdzieś posłuchać muzyki.

– Wspaniale. Spodoba ci się. Ta muzyka gitarowa jest cudowna. Mają tam też kilku niezłych piosenkarzy. No i jest kominek. Już samo to powinno cię przekonać.

Widocznie przekonało, bo oto szła nieznajomymi, brukowanymi uliczkami w towarzystwie Rose Cameron. Gdy tylko minęły róg kolejnej uliczki, usłyszały przytłumione, delikatne dźwięki gitary. Pod szyldem z napisem: „La Posada

Catarina" były ciężkie drzwi. Rose otworzyła je i po kilku stopniach zeszły do niewielkiej, zadymionej, pogrążonej w półmroku sali. Rose przystanęła i rozejrzała się uważnie.

– Tam jest wolny stolik koło kominka. – Zaczęła przeciskać się przez zatłoczone pomieszczenie w kierunku migotliwego blasku ognia. Niespodziewanie odezwał się niechlujnie wyglądający mężczyzna z krótką, rudawą brodą:

– Hej, Rose, dokąd idziesz? Siadaj z nami!

Rose przystanęła i spojrzała pytająco na Annmarie.

– Jasne, Vince, dzięki. A to Annmarie Bannister. Jest nowa w mieście. Annmarie, chciałabym, żebyś poznała tych panów, to Vince Stolarski i Diego Ortiz.

Annmarie skinęła głową na powitanie i powiedziała:

– Miło mi panów poznać.

Wcale nie miała ochoty przysiąść się do nieznanym mężczyznom, ale ten, który nazywał się Diego Jakiśtam, zerwał się na równe nogi i przysunął jej krzesło.

– Bardzo proszę – powiedział po angielsku z lekkim akcentem. – Pani zapewne dopiero co przyjechała do Santa Catariny? Jak się tu pani podoba?

– Wygląda na... na bardzo miłe miasteczko... – odparła i chuchnęła w dłoń.

– Ale trochę tu zimno, prawda? To najbardziej nietypowa pogoda dla tej pory roku.

– Tak mówimy u nas na Florydzie, kiedy wymarzają pomarańcze. Ale gdy wyjeżdżałam z domu, było prawie trzydzieści stopni.

– Więc teraz zimno musi pani niezłe dokuczać. Trzeba wypić coś na rozgrzewkę. – Skinął na kelnera. – *Un ponche para las señoritas*. Odpowiada to pani, panno Cameron?

– Tak, Diego, dziękuję.

– *Ponche* to takie wino z przyprawami korzennymi – wyjaśnił Annmarie – To panią rozgrzeje.

Miło na nią popatrzeć, pomyślał, prawdziwa niebieskooka blondynka, typowa *gringa*. Koniuszek kształtnego noska i policzki miała lekko zaróżowione od zimna. Niestety, przez ten ciężki sweter nawet zarysy jej figury były niewidoczne. Ciekawość przewyciężyła powściągliwość i dobre maniery:

– Tu jest bardzo ciepło – stwierdził – dlaczego nie zdejmie pani swetra?

Kiedy zdjęła bez słowa gruby, wełniany sweter, okazało się, że pod spodem ma prostą, niebieską sukienkę z długim rękawem. Była tak zgrabna, jak się tego spodziewał.

Kiedy na małej scenie miejscowa piosenkarka zaczęła śpiewać przy akompaniamencie gitary, Diego poprosił Annmarie do tańca. Nie miała pewności, jak powinna zareagować, ale zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, stał przed nią z wyciągniętą dłonią. Pozwoliła się zaprowadzić na niewielki parkiet w pobliżu kominka.

Kiedy ją objął, spojrzała na niego i stało się coś niezwykłego. Nagle poczuła się dużo swobodniej. Tylko takie określenie przyszło jej na myśl. Całe dotychczasowe uczucie obcości zniknęło bezpowrotnie w chwili, gdy wziął ją w ramiona. Był wyższy od niej. Jego czarne włosy miały aż granatowy połysk, a w oczach migotał dziwny, ciepły, złotawy blask. Z całej sylwetki, ze sposobu, w jaki się poruszał, z kroju jego ubrania biła spokojna, stonowana elegancja. Bardzo jej się to podobało. Czowała siłę męskich ramion pod palcami, ciepło dłoni lekko spoczywającej na jej plecach.

Przymknęła oczy i pozwoliła się unosić łagodnym dźwiękom gitary i wibrującemu głosowi piosenkarki.

– Bardzo się cieszę, że tu dziś przyszedłeś, Anno Mario.

– Nazywam się Annmarie, to jedno słowo – odparła i spojrzała na niego. Czowała się dziwnie: z jednej strony to miłe wrażenie ciepła i bezpieczeństwa w ramionach Diego, z drugiej jednak wyraźnie wzrastające emocje i towarzyszący im lęk. W sumie nie było to takie nieprzyjemne...

Mocniej ujął jej dłoń.

– A ja będę mówił do ciebie Annamaria, jeśli nie masz nic przeciwko temu, dobrze?

W tej chwili mógłby nazywać ją jakkolwiek: Sadie, Hildegarda, Mehatebal, nie miałyby to żadnego znaczenia.

– Gdzie się zatrzymałaś?

W jego ramionach zapomniała nawet o tym, że nigdy nie wolno mówić obcym, gdzie się mieszka:

– W La Quinta.

– Świetnie! Ja też. – Uścisnął jej dłoń. – W takim razie będę mógł cię potem odprowadzić, prawda?

– Nie. To znaczy... przyszedłam tu z Rose.

– Zatem odprowadzę was obie.

– Muzyka ucichła, ale on nie puścił jej dłoni, pochylając głowę złożył delikatny pocałunek.

– Tak się cieszę, że tu dziś przyszłaś...

– Ja też...

– To był bardzo długi taniec – powiedziała Rose, kiedy wrócili do stolika.

– Świetnie wyglądaliście razem – rzucił Vince, unosząc szklanekę z winem. – Annmarie, jak długo zamierzasz zatrzymać się w Santa Catarinie?

– Jeszcze nie wiem. Przynajmniej tydzień, może dwa.

– Masz szczęście, przyjechałaś w samą porę na fiestę. Zaczyna się w przyszłym tygodniu.

– Tak, wiem. Rose mi mówiła.

– Będzie mnóstwo atrakcji. Przyjęcia, indiańskie tańce, walki z bykami... Byłaś kiedyś na prawdziwej walce z bykami?

– Nie i nigdy nie pójdę. Uważam, że to okrutny, morderczy sport. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ktokolwiek może w czymś takim uczestniczyć. Obawiam się, że gdybym tam poszła, to chyba dopingowałabym byka.

Rose drgnęła i spojrzała na Diego.

– Uważaj, Annmarie. Diego jest matadorem. I będziesz walczył w pierwszej corridzie, tak? – zwróciła się do niego.

Skinął głową. Wyraz jego twarzy zmienił się całkowicie.

– Być może tego dnia zwycięży byk, panno Bannister.

Spojrzała na niego. Rumieniec palił jej policzki...

– Ja nie chciałam... przepraszam... – odezwała się niepewnym głosem. Dostrzegła wyraz niezadowolenia na twarzy Rose i wyraźne rozdrażnienie Vince'a. Wstała, podnosząc swój sweter.

– Proszę mi wybaczyć – zwróciła się do Diego i nie oglądając się za siebie wybiegła z kawiarni.

– Na zewnątrz panowała wieczorna cisza. Nieliczne lampy kołysały się leniwie, rzucając skąpe światło na brukowane uliczki. W pogrążonych w cieniu, okolicznych bramach stały pary młodych ludzi w czułych objęciach. Annmarie była na siebie wściekła. Czowała, jak do oczu napływają piekące łzy. Po raz pierwszy od bardzo dawna spotkała kogoś, kto się jej podobał, kogoś, kogo chciałaby bliżej poznać, a wszystko popsuła jedną głupią uwagą.

– Idiotka – powiedziała głośno do siebie. Usłyszała za sobą czyjeś kroki. Przyspieszyła. Dogonił ją jednak dźwięk jej imienia. Przystanęła i obejrzała się. Nadchodził Diego.

– Nie powinnaś sama chodzić po nocy – zaczął, kiedy podszedł bliżej. – Zwłaszcza na tych obcasach. I zapomniałaś włożyć sweter. Chodź, pomogę ci.

Kiedy uporali się już ze swetrem, ujął ją pod rękę. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć, więc wskazała najbliższą bramę i spytała:

– Dlaczego oni tam stoją?

– Może dlatego, że nie mają dokąd pójść. Czasem całe rodziny mieszkają tylko w jednym pokoju, najwyżej w dwóch. Ale i tak zawsze tam pełno młodszych braci i sióstr... . Albo któryś ojciec nie zgadza się, żeby młody człowiek odwiedzał jego córkę. – Spojrzał na nią uważnie. – A twój ojciec? Czy on się zgadza, żebyś samotnie podróżowała po obcym kraju? Czy może młode Amerykanki są już tak dalece wyzwolone, że nie dbają o to, co myślą ich rodzice?

W jego głosie wyraźnie brzmiał ton niezadowolenia.

– Oczywiście, że dbam o to, co myślą moi rodzice odparła – ale akurat teraz są w samym środku sprawy rozwodowej, a ja nie chciałam opowiadać się za żadną ze stron, więc pomyślałam, że to dobry moment na dłuższe wakacje.

– Rozwód? To musi być dla ciebie bardzo ciężkie przeżycie. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Oni zawsze walczyli ze sobą. Od kiedy pamiętam. Już dawno powinni się rozejść. I pewnie, gdyby mnie nie było, rozstaliby się dużo wcześniej.

Spróbowała uwolnić się z jego uchwytu, ale właśnie w tym momencie obcas utknął między kamieniami i przewróciłaby się, gdyby jej nie podtrzymał.

– *Cuidado* – ostrzegł – uważaj. Musisz zacząć nosić buty bardziej przystosowane do chodzenia po tych kocich łbach. W takich obcasach daleko nie zajdziesz.

Nie odpowiedziała.

– Masz rodzeństwo? – spytał. Pokręciła głową przecząco.

– A *novio* / Narzeczonego?

– Nie. – Przystanąła i spojrzała na niego. – Diego, tak mi przykro z powodu tego, co powiedziałam o tych walkach z bykami. Nie chciałam... Właściwie to nic nie wiem o bykach, a tym bardziej o walkach. Ale jestem przeciwna przemocy i nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie dobrowolnie ryzykują własne życie w ten sposób. – Przerwała i położyła mu dłoń na ramieniu. – Nie chciałabym, żeby cokolwiek stało się komukolwiek... to znaczy tobie...

Diego przyglądał się jej twarzy, ledwo oświetlonej blaskiem odległej, rozkołysanej lampy. Kiedy ją zauważył, jak wchodziła do kawiarni, pomyślał, że oto przyjechała kolejna ładna, jasnowłosa *gringa*, która szuka wakacyjnych rozrywek. Nawet zdążył postanowić, że zrobi wszystko, żeby długo wspominała pobyt w Santa Catarinie. Ale kiedy tańczyli razem, wydała mu się taka delikatna. Powróciło tamto dziwne uczucie, które już dawno nie gościło w jego sercu. Czuł nieodpartą potrzebę zaopiekowania się nią. Sam nie wiedział dlaczego, ale było w niej coś takiego, co sprawiało, że wydawała się być zupełnie inna, niż te wszystkie kobiety, które znał w życiu. A w chwilę później rozdrażniła go tą uwagą o walkach z bykami...

Zanim zdołał zapanować nad sobą, jego dłoń powędrowała pod jasnymi włosami Annmarie, aż zatrzymała się na karku. Przysunął ją bliżej do siebie.

– Przepraszam, jeżeli cię zraniłam... – wyszeptała.

– Nic sienie stało. To tylko dlatego, że nie wiesz... nie rozumiesz...

Zdecydowany, acz lekki ucisk jego dłoni sprawiał, że była coraz bliżej.

– Diego? Diego, ja...

Nie pozwolił jej dokończyć, zamykając usta Annmarie pocałunkiem tak czułym, ciepłym i delikatnym, że nie mogła mu się oprzeć. Bezwiednie westchnęła. Było to westchnienie zadowolenia. Znow znalazła się w jego ramionach, bezpieczna...

Kiedy przestał ją całować, uśmiechnęła się i spytała:

– Więc teraz jesteście tacy sami, jak ci w bramach?

– Tak – odparł. Ujął jej twarz w dłonie i zastanawiał się, co jest takiego w tej kobiecie, co tak bardzo go poruszyło.

Pogoda poprawiła się wyraźnie. Zrobiło się dużo cieplej. Przez kilka dni nie widziała się z Diego. A bardzo tego chciała. Raz zauważyła go na ulicy, gdy rozmawiał z kilkoma mężczyznami, ale nie była pewna, czy może do niego podejść, skoro jej nie dostrzegł. Tym razem wyglądał inaczej, niż wtedy w nocy. Ubrany był w typowe hiszpańskie buty, džinsy i białoniebieską koszulę. Miał bardzo poważny wyraz twarzy. Annmarie zastanawiała się, czy rozmawiali o zbliżających się walkach z bykami. W całym mieście widziała plakaty zapowiadające corrida. Na wszystkich był Diego w *traje de luces*, tradycyjnym stroju święteł. Miał zmysłowy wyraz twarzy, gdy patrzył, jak rozpędzony byk mija jego żółtokarmazynową pelerynę.

Długo wpatrywała się w to zdjęcie i zastanawiała, jakim człowiekiem jest

Diego Ortiz. Silny, ale i zmysłowy. Pogromca byków, zabijał je... Z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak to jest możliwe, że człowiek, który ją tak delikatnie i czule całował i ten z plakatu, to jedna i ta sama osoba. Jeszcze nie zdecydowała się, czy powinna pójść na pierwszą corridę fiesty. Raczej nie...

Rozdział 2

Najpierw rozdzwoniły się dzwony. Niektóre wydawały pełny, głęboki, miły dla ucha dźwięk. Inne brzmiały ostro, hałaśliwie, płosząc gnieźdzące się w dzwonnicach gołębie. Chór ptasiego śpiewu mieszał się z donośnym pianiem kogutów i zgiełkliwym ujadaniem psów.

Kiedy powietrzem targnęły pierwsze, odległe jeszcze i jakby niepewne eksplozje wybuchów, normalne dźwięki wstającego dnia ucichły, zamarły. W chwilę później rozległa się nieprzerwana kanonada strzałów... Rozpoczął się pierwszy dzień fiesty.

Jeszcze przed wschodem słońca z okolicznych górskich osad zaczęli schodzić Indianie. Będą pokonywać tę drogę przez najbliższe kilka dni. Razem z nimi posłusznie szły osiołki obładowane towarami przeznaczonymi na sprzedaż na bazarze. Dzbanki na wodę, tkaniny, figurki bożków, słomiane kapelusze, maty, przeróżne wyroby garncarskie, wyplatane fotele z siedzeniami malowanymi w fantazyjne wzory. Ci, którzy nie mieli swoich osiołków, przewiązywali sobie czoła szerokimi pasami białego materiału i na własnych barkach nieśli towary na targ. Za nimi szły kobiety, większość z nich dźwigała na plecach małe dzieci w wyblakłych *rehozos*, które niegdyś były barwione w czarne i szare pasy. Z tyłu biegły starsze dzieci.

Gdzieś w przedzie turkotały ciężarówki producentów owoców, wypełnione po brzegi pomarańczami, papayami, mandarynkami i bananami z Veracruz oraz truskawkami z Irapuato.

Powietrze drgnęło po raz ostatni pod wpływem dużej eksplozji. Gdzieś w oddali rozbrzmiewały słabnące echa wystrzałów. Annmarie otworzyła jedno oko i ziewnęła. Westchnąwszy ciężko, usiadła na brzegu łóżka i przebiegła dłonią po rozczochranych włosach.

Kiedy się ubrała i zeszła do jadalni na śniadanie, Rose pomachała do niej z daleka na powitanie.

- Vince idzie zaraz kupić bilety na jutrzejszą corridę. Dla ciebie też kupić?
- Nie sądzę.

Rose przełknęła mały kawałek szynki i powiedziała:

– Posłuchaj, Annmarie, to nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że dopóki jesteś w Meksyku, powinnaś uczestniczyć w pewnych wydarzeniach. Zdaję sobie sprawę, że większość z nas, Amerykanów, uważa walki z bykami za

okrutny sport i zupełnie nie możemy zrozumieć, dlaczego jeszcze ktoś chce się temu przyglądać. Tylko że to nie jest sport. To fiesta, spektakl, który rozpoczął się na Krecie setki lat przed narodzinami Chrystusa, a potem towarzyszył ludziom przez te wszystkie lata. Dla wielu to bardzo ważna sprawa. W Hiszpanii i w Portugalii, w części Francji i w Ameryce Południowej. Na przykład tu, w Meksyku.

W Stanach mali chłopcy są tak wychowywani, że uwielbiają futbol amerykański i baseball, a w Ameryce Łacińskiej kochają walki z bykami i piłkę nożną. Wydaje mi się, że nie możemy z góry przekreślać czegoś, co dla ludzi w innych krajach jest bardzo ważne, tylko dlatego, że dla nas jest to całkowicie niezrozumiałe.

Rose upiła łyk kawy.

– To koniec wykładu. A teraz powiedz: może miałabyś ochotę wybrać się razem ze mną i Vince'em na jutrzejszą corridę?

Po tym, co usłyszała, Annmarie właściwie nie miała wyboru.

– Ależ oczywiście, że bym chciała – powiedziała z lekką ironią w głosie. – Jak to miło, że mnie zapraszacie...

– Bardzo dobrze. Wyruszmy stąd około wpół do czwartej i spacerkiem pójdziemy na stadion. – Przerwała i spojrzała w stronę drzwi. – Idzie Diego. – Gestem zaprosiła go do ich stolika.

– *Buenos dias* ~ przywitał się – mogę się przysiąc?

– *Buenos dias* – odparła Rose i wskazała mu krzesło. – Oczywiście, zapraszamy, siadaj.

– *Gracias*. – Spojrzał na Annmarie. – No, i jak sobie radzisz? Poznałaś już całe miasteczko?

Skinęła potakująco głową.

– Byłam na targu. Zaglądałam do wszystkich tych małych sklepików i zwiedziłam większość kościołów. Powoli przestaję się czuć taka zagubiona, chyba już wszędzie umiałabym trafić. Powiedz, Diego, ty jesteś z Santa Catariny?

– Urodziłem się w małej miejscowości nad morzem, ale traktuję Santa Catarinę jak moje miasto rodzinne. Przeprowadziłem się tu i zamieszkałem z wujem, kiedy miałem szesnaście lat. Wuj miał wspaniałą hodowlę byków za miastem, tam zacząłem trenować. Moja pierwsza corrida odbyła się właśnie tu, w Santa Catarinie.

Pomyślał, że Annmarie wygląda wyjątkowo ślicznie i świeżo w blasku

porannego słońca. Czuł, jak ogarnia go trudna do opanowania chęć dotknięcia jej... Zmusił się, żeby patrzeć na Rose.

– Ty i Vince przyjdziecie jutro, prawda?

– Oczywiście! Nawet namówiłam Annmarie, żeby się przyłączyła do nas.

– Jesteś pewna, że chcesz tam pójść? – spytał Annmarie.

– Nie – odparła ze śmiechem, odruchowo dotykając wierzchu jego dłoni – ale pójdę i obiecuję, że nie będę dopingowała byka.

– Gdybyś to zrobiła, to bym go tobą nakarmił. – Obrócił dłoń i złapał jej palce.

Annmarie próbowała patrzeć w inną stronę, ale nie potrafiła uwolnić się od magnetyzmu oczu Diego i ciepła jego dłoni.

– Cóż... – chrząknęła Rose, odsunęła krzesło i wstała. – Muszę już iść, umówiłam się z Vince'em, zobaczymy się później.

– Doskonale – odparł Diego, puścił dłoń Annmarie i wstał. Kiedy Rose już odeszła, powiedział:

– Bardzo ją lubię.

– Ja też.

– Zakonnice z sierocińca mówią, że jest cudowna dla dzieci. Mówiła ci już, że pomaga tam czasem?

– Tak, a nawet namawiała mnie, żebym tak kiedyś wpadła z wizytą – odpowiedziała Annmarie.

– Wpadła z wizytą?! – Diego roześmiał się głośno. – Ona chce cię tam zwerbować do pracy. – Znowu ujął jej dłoń. – Jeżeli skończyłaś już śniadanie, to może wybralibyśmy się gdzieś na małą wycieczkę, co ty na to?

Magia jego oczu znów ją zniewoliła.

– Tak. – odparła cicho.

Wstał, odsunął jej krzesło i wyszli z jadalni. Odezwał się dopiero, kiedy byli w samochodzie.

– Pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę przejechać się poza miasto. Zwiedzałaś trochę Meksyk, zanim się tu zjawiłaś?

– Trudno to właściwie nazwać zwiedzaniem. Przejechałam tylko przez kilka miejscowości. Granicę przekroczyłam w Laredo, nocleg w Monterrey, a potem w San Louis Potosi, potem...

– Sama przejechałaś całą tę drogę aż z Florydy?

– Tak, to była długa podróż...

– Jesteś za młoda na to, żeby takie podróże odbywać samotnie. Rodzice nie

powinni byli pozwolić ci na to. Meksykanka nawet nie pomyślałaby o takiej podróży.

– Ale ja nie jestem Meksykanka – odparła ostro Annmarie. – A tak w ogóle to nie jestem dzieckiem. Skończyłam dwadzieścia cztery lata.

– Aż tyle? – Diego uśmiechnął się do niej. Miała taką świeżą cerę, jedyny makijaż to odrobina szminki na ustach. Jasne, sięgające ramion włosy były gładko zaczesane do tyłu i spięte spinką. Nosila prostą, białą koszulę z długim rękawem, ciemnozieloną spódnicę i sandały. Wyglądała tak pociągająco, że potrzebował dużej siły woli, żeby nie zatrzymać samochodu i nie zacząć jej całować.

Wybrał drogę, która wiodła prosto w góry. Powietrze było tu nieco chłodniejsze, ale ogrzewały ich promienie słońca. Zapowiadał się piękny dzień. Diego zajęty był prowadzeniem, więc rozmawiali niewiele. Włączył radio i znalazł stację, która nadawała hiszpańską muzykę, Annmarie wsłuchiwała się przez chwilę w te piosenki, aż w końcu powiedziała:

– Są śliczne. Szkoda, że nie rozumiem słów.

– Ta nazywa się „MaLana”. Opowiada o mężczyźnie, który jest daleko od swojej ukochanej. – Diego zaczął śpiewać. Najpierw po hiszpańsku, potem po angielsku.

– „Kiedy będziesz daleko, wspomnij mnie... kiedy usta tve zatęsknią za moimi pocałunkami, a oczy zamglą się łzami, wspomnij mnie...” – Uśmiechnął się do niej. – My, Meksykanie, jesteśmy zbyt sentymentalni...

– Nie – zaprzeczyła – to mi się bardzo podoba. Piękna piosenka. Chciałabym więcej rozumieć po hiszpańsku. Jeszcze w domu, . na Florydzie, chodziłam na taki kurs wieczorowy, ale widzę, że niewiele się nauczyłam.

– W Santa Catarinie jest szkoła hiszpańskiego. Tam możesz dalej się uczyć.

Wpatrywała się w swoje dłonie spoczywające na kolanach.

– Chyba nie będę tu aż tak długo. Nie na tyle, żeby się czegoś nauczyć.

– Tak, chyba masz rację.

Potem przez dłuższy czas nie rozmawiali. Diego zjechał z krętej drogi i prowadził samochód wąską ścieżką, która wiodła pomiędzy wybujałymi krzewami i wysokimi drzewami. Kiedy się zatrzymali, powiedział:

– Chodź, chcę ci coś pokazać.

Wysiedli, Diego wziął ją za rękę i poprowadził między drzewami.

– Teraz będziemy musieli trochę się powspinać. Nie jest to łatwa trasa, ale

zapewniam cię, że widok, jaki zobaczysz, wart jest tego wysiłku.

Cały czas trzymali się za ręce, pomagali jej pokonać najtrudniejsze odcinki. Kiedy stanęli na szczycie, podprowadził Annmarie do samej krawędzi skały i powiedział:

– To jeden z moich ulubionych widoków...

Była zachwycona. Wydawało się, że mogłaby wpatrywać się bez końca w przestrzeń rozpościerającą się przed nimi. Doliny, rzeki, małe gospodarstwa i rozległe pola jaśniejące dojrzałym, złocistym zbożem. Stoki górskie ukwiecone łubinem i polnymi stokrotkami. Gdzieś wznosiły się dumnie wysokie, żółte słoneczniki. Stojący w oddali dom był w połowie pokryty czerwonym bluszczem.

– To piękne...

– Tak, piękne – zgodził się. Ale nie patrzył tam gdzie ona. Z uwagą przyglądał się Annmarie. W pewnej chwili odwróciła się w stronę Diego i dostrzegła dziwny wyraz na jego twarzy. Szeroko otworzyła oczy. Przez chwilę obawiał się, że ona zaraz zacznie się wycofywać. Nic takiego nie nastąpiło. Czekala... Położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzał pytająco, spróbował przysunąć ją bliżej ku sobie... pocałował...

Początkowo delikatny, miękki pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, coraz głębszy. Objął ją mocniej. Czuł, jak drżała. Nie wiedział, czy to z powodu zimna, czy też z lęku... Rozpiął kurtkę i otulił nią Annmarie.

– Anno Mario – wyszeptał, prawie nie odrywając ust od jej warg – chciałem tak cię całować, czuć twoje ciało blisko mego już od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem.

Spróbowała odsunąć się od niego, ale wciąż mocno ją trzymał.

– Jeszcze nie, *querida*. – Mocnymi dłońmi ujął jej twarz i uważnie się przyglądał. Powoli, delikatnie ucałował jej przymknięte powieki, łagodny łuk nosa i to słodkie wcięcie, które wiodło wprost ku jej ustom. Starał się ze wszystkich sił utrzymać swe emocje na wodzy, *ale, por Dios*, tak bardzo chciał się z nią kochać, właśnie tutaj, w tym miejscu, które tak uwielbiał. Bardzo chciał rozpiąć jej białą, czystą koszulę, by całować słodkie krągłości jej piersi. Chciał, żeby szeptała jego imię, żeby pociągała go ku sobie...

Pocałował ją z całej siły, namiętnie. Potem delikatnie odsunął od siebie.

– Jeżeli zaraz nie ruszymy, to obawiam się, że nie będę miał dość siły, żeby w ogóle pozwolić ci odejść – wyszeptał. Dotknął jej twarzy, lekkim ruchem przesunął kosmyk jasnych włosów szarpany wiatrem. Westchnął i wziął ją za

rękę.

Annmarie przyglądała mu się uważnie, nie była pewna, czy czuje ulgę, czy raczej rozczarowanie...

Zapadał już zmierzch, kiedy dotarli do La Quinta. Diego zatrzymał się przed jej drzwiami.

– Jeszcze dziś muszę zobaczyć się z moim agentem. Jutro rano pojedę na *sorteo*, losowanie byków. Może jutro wieczorem, po *corridzie*, zjedlibyśmy razem kolację?

– Dobrze Diego, bardzo chętnie.

– Nie musisz przychodzić na *corridę*, jeśli nie chcesz. Zrozumiem to.

– Nie, ja chcę tam pójść.

– Jesteś pewna?

– Nie, ale przyjdę – odparła cicho.

Delikatnie pogłodził ją po głowie.

– Wiesz, jaka ty jesteś śliczna? – Pociągnął ją lekko ku sobie i pocałował. Annmarie oparła mu głowę na ramieniu. Stali tak przez chwilę. Wreszcie odezwała się:

– Zobaczymy się jutro, po *corridzie*. – Zawahała się. – W Stanach, kiedy aktor wychodzi na scenę, to zwykle życzymy mu „połamania nóg”. Ale to chyba nie są najlepsze życzenia dla kogoś, kto ma walczyć z bykami...

Diego pokręcił głową i powiedział ze śmiechem:

– Nie, raczej nie...

– W takim razie czego mam ci życzyć?

– *Suerte*, to znaczy szczęścia.

– W takim razie *suerte*, Diego. – Lekko musnęła jego policzek. – *Suerte*.

Zanim weszła do swojego pokoju, przyglądała się przez chwilę, jak odjeżdżał, potem zamknęła za sobą drzwi – i usiadła na łóżku. Wpatrywała się w ogród poprzez koronkowe firanki.

Coś się wydarzyło tego dnia. Coś o wiele ważniejszego niż te kilka pocałunków. Nigdy wcześniej nie przeżyła niczego podobnego do tego, co czuła w jego ramionach. Całował ją, niezwykle namiętnie, a ona podobnie mu odpowiadała. Ale miała świadomość, że to coś znacznie głębszego niż sama namiętność. Kiedy ją obejmował, zrodziło się dziwne uczucie przynależności, podobnej do tej, która towarzyszy zwykle powrotowi do domu. Była tym zaskoczona, oszołomiona. Znała Diego Ortiza bardzo krótko i wiedziała, że ich

znajomość nie potrwa długo.

Był zupełnie inny niż wszyscy ci, których wcześniej znała. Nie potrafiła go zrozumieć. Zbyt mało wiedziała o jego ojczyźnie. I zupełnie nie rozumiała tego, czym się zajmował. Ale z drugiej strony...

Zrobiło się późno. Cały pokój pogrążył się w mroku, a ona wciąż siedziała na łóżku i wpatrywała się w ogród.

Jutro pójdzie na stadion, żeby oglądać walkę Diego. Ta myśl budziła w niej dziwne emocje, chociaż starała się je wytłumić. Jakich uczuć dozna obserwując, jak Diego, przebrany w uroczysty strój, będzie drażnił byka?

W końcu przymknęła oczy i położyła się w ubraniu na łóżku. Rozmyślała o jutrzejszym dniu.

Rozdział 3

Na Plaza del Toros w Santa Catarinie zebrał się już prawie komplet widzów, kiedy Annmarie, Rose – i Vince wreszcie przyjechali. Z trudem precyzyjnie się do swoich krzeseł w pierwszym rzędzie, tuż nad miejscem, gdzie będą stali matadorzy przed wkroczeniem na arenę. Zewsząd dochodził hałas, ludzie śmiali się, wyklócali o swoje miejsca. Aura podniecenia, unosząca się w powietrzu, była niemal namacalna.

– Byki będą wychodzić stamtąd – wyjaśniał Vince Annmarie, wskazując duże, drewniane wrota po drugiej stronie areny. – Diego wystąpi na otwarcie, bo ma najdłuższy staż wśród tych zawodników. Pierwszy z nich zdobył swoje *alternativa*, taki stopień w walkach z bykami – uśmiechnął się do Annmarie. – Pamiętam, jak się czułem przed pierwszą *corridą* w swoim życiu. Wydaje mi się, że ty też jesteś teraz trochę podenerwowana, prawda?

~ Zdenerwowana i podniecona. – Annmarie próbowała się uśmiechnąć.

– To już nie potrwa długo – powiedziała Rose, spoglądając na swój zegarek. – *Corrida* to jedyna rzecz w Meksyku, która zawsze zaczyna się punktualnie.

Wyraźny, ostry, przejmujący dźwięk rogu przedarł się poprzez szum rozmów. Rozpoczęło się *passodoble*, tłum zaczął wiwatować. Annmarie dostrzegła, jak za drzwiami, po drugiej stronie areny, jakiś mężczyzna dosiadł konia.

– To jest właśnie *alguacil* – poinformował Vince, kiedy człowiek w czarnym kostiumie wyjechał na środek areny.

Podjechał bliżej do łoża honorowej i zdjęwszy kapelusz poprosił o zgodę na rozpoczęcie *corridy*. Kiedy otrzymał pozwolenie, wycofał się w stronę drzwi, skąd miał poprowadzić paradę *toreadorów*.

Annmarie przebiegł dreszcz. Czowała otaczającą ją atmosferę podniecenia i oczekiwania... Wszyscy czekali na ten moment, kiedy trzech matadorzy wystąpią z cienia i staną na skąpanej w słońcu arenie.

Kiedy wreszcie się pojawili, ogarnęło ją zaskoczenie. Nie była przygotowana na takie wrażenia. W ogóle nie dostrzegła pozostałych dwóch mężczyzn, widziała tylko Diego. Jego *traje de luces* było srebrzystoczarne. Spodnie ściśle przylegały do nóg, kończyły się kilka centymetrów poniżej kolan. Krótka kurteczka była ozdobiona połyskującym haftem i srebrnymi epoletami. Na rękawach i na przedzie naszyto mnóstwo cekinów migoczących w

promieniach słońca. Przez ramię miał przerzuconą równie bogato haftowaną pelerynę, *capote de paseo*. Za matadorami szli *banderillews*, pomocnicy matadorów, których zadaniem jest umieszczanie kolorowych ostrzy i pomoc w opanowaniu byka podczas walki. Następni w kolejności *picadores* mieli atakować byka pikami z grzbietów koni. Na końcu pojawili się *monosabios*, mający pomagać pikadorom i utrzymywać w porządku piasek areny.

Przez całą drogę na drugą stronę areny towarzyszyła im głośna, porywająca muzyka. Kiedy dotarli pod trybuny, zatrzymali się. Diego szukał wzrokiem Annmarie. Kiedy ją wreszcie zauważył, zdjął pelerynę i podszedł bliżej do nich. Zatrzymał się dokładnie poniżej miejsca, gdzie siedziała razem z Rose i Vince'em.

– *Gracias matador* – powiedział.

– *Por nada* – odparł Diego i znów spojrzał na Annmarie. Zanim się odwrócił, zdążył jeszcze lekko uśmiechnąć się do niej.

Zapadła absolutna cisza. Ciężkie drzwi, nad którymi był napis „Torii”, otworzyły się powoli i na arenę wybiegł pierwszy byk. Diego przyglądał mu się przez chwilę, dopóki sam nie wyszedł na arenę ze zwiniętą peleryną. Zawołał byka, kilka razy prowokował go długimi, łagodnymi ruchami peleryny, żeby rozbudzić w zwierzęciu agresję. Dopiero potem wykonał kilka efektownych *veronicas*, po których tłum zrywał się na nogi i wiwatował. Następnie pojawili się pikadorzy ze swoimi pikami i *banderilleros*, aż wreszcie nadszedł ponownie Diego. Trzymał w ręku małą, czerwoną pelerynkę, zwaną *capote de torear*, i zawołał byka dziwnym głosem:

– *Toro, ahaaa!! Toro!*

Mała, czerwona pelerynka zawirowała w blasku gorącego słońca Meksyku. Stał przed bykiem. Podszedł bliżej. Niczym nie osłonięte ciało znajdowało się tuż przed białymi, ostrymi rogami zwierzęcia, które kołysały się powolnym ruchem na wysokości brzucha Diego. Byk ruszył. Niemal otarł się o wyprężone ciało toreadora. Annmarie usłyszała, jak ludzie wokół niej krzyczą:

– *Ole! Bravo matador! Ole!*

Nie mogła złapać oddechu. Żołądek miała ściśnięty strachem. Bezwiednie wbijała z całej siły paznokcie w dłonie. Nie potrafiła oderwać wzroku od postaci Diego. Byk mijał go coraz bliżej i bliżej... Myślała o człowieku, który wczoraj tak czule ją całował. I wiedziała, że tamten nie ma nic wspólnego z tym mężczyzną na arenie. Widziała piękno jego ruchów, doceniała odwagę, ale nie potrafiła zrozumieć tego, co widziała. Przy każdym kolejnym podejściu Diego

pozwalając bardziej zbliżyć się bykowi, a kiedy ten, zdezorientowany, zatrzymał się wreszcie, Diego odwrócił się od niego i odszedł spokojnie.

Nadszedł czas zabijania. Diego powoli poruszał muletą przed głową byka, aby ten skupił się na kawałku materiału. Kiedy już obaj, i byk, i matador, przybrali odpowiednią pozycję, opuścił nagle muletę. Wtedy byk w ślad za nią, opuścił łeb, a Diego podszedł jeszcze bliżej i stanął pomiędzy ostrymi rogami. Błysnęła stal miecza i Diego uskoczył w ostatniej chwili przed gwałtownie opuszczonymi rogami. Byk zamarł w bezruchu, tłum ogarnął szal owacji. Rose położyła dłoń na ramieniu Annmarie. , – Annmarie? Dobrze się czujesz?

Musiała zwilżyć wyschnięte usta, zanim mogła cokolwiek odpowiedzieć.

– Tak – wykrztusiła z trudem. – Nie spodziewałam się... Nie myślałam, że to tak wygląda...

– Był wspaniały – powiedział Vince. – Jest jednym z najlepszych matadorów, jakich Meksyk dał światu od czasu Carlosa Arrazy. Jak się skończy fiesta, to pojedzie walczyć do Hiszpanii, i słyszałem, że potem ma mnóstwo propozycji z Ameryki Południowej.

Annmarie ledwie słyszała, co on do niej mówił. Bez słowa przyglądała się poczynaniom dwóch pozostałych matadorów. Napięcie wróciło, kiedy po raz drugi Diego pojawił się na arenie.

Przed *baena*, trzecim i ostatnim aktem walki, Diego zdjął swój *montera*, czarny kapelusz matadorów, i podszedł do bariery w miejscu, gdzie siedziała Annmarie. Podniósł na nią wzrok.

– Wstań – podpowiedział jej Vince.

Kiedy wstała, Diego odezwał się głośno:

– Tego byka dedykuję tobie, Anomalie. – Odwrócił się i rzucił jej swój kapelusz przez ramię. Złapała go i przycisnęła do piersi.

Wszystko odbyło się tak samo, jak poprzednio, z tą tylko różnicą, że tym razem byk był dużo większy, a rogi miał chyba jeszcze bardziej zaostrome. Raz po raz Diego wołał byka i dzięki zapierającym dech w piersi, eleganckim unikom, w ostatniej chwili mijał ostre rogi. Ilekroć tego dokonał, tłum zrywał się na równe nogi i wykrzykiwał jego imię lub rozlegało się ogłuszające „*Ole!!!*”.

Diego opadł na kolana i znów zawołał byka. Olbrzymie, rozjuszone zwierzę minęło go, zatrzymało się kilka metrów dalej, odwróciło i zamarło w bezruchu oczekiwania. Byk był już zmęczony, ciężko dyszał. Diego ukląkł tuż przed nim. Najpierw delikatnie dotknął palcami ostrych rogów, a potem oparł łokieć na pysku zwierzęcia.

Annmarie nie mogła złapać oddechu. Na górnej wardze pojawiły się drobne kropelki potu. Kurczowo ścisnęła ramię Rose.

– Boże, wołałabym, żeby tego nie robił – mruknęła Rose.

Diego cofnął się, oddalił nieco od byka. Tłum ogarnęło szaleństwo.

Nie zniosę tego, pomyślała Annmarie, muszę stąd wyjść i to natychmiast. Muszę! Ale została. I wpatrywała się w stojącego na środku areny człowieka i w zbliżającego się do niego byka, jakby była zahipnotyzowana przez strach, jakiego nigdy dotąd nie odczuwała. Nie mogła oderwać wzroku od Diego, kiedy ten znów zawołał byka. Zwierzę podeszło jeszcze bliżej, zatrzymało się i... niespodziewanie zaatakowało. Róg uderzył Diego i uniósł go w powietrze. Potem byk rzucił nim o ziemię... Pomocnicy i pozostali matadorzy rzucili się na ratunek, wymachując różnokolorowymi płachtami, chcąc odwrócić uwagę byka. Diego wstał. Krwawił obficie z rannej nogi, ale uśmiechnął się i pomachał do widzów.

– Nic mu się nie stało – powiedział nerwowo Vince będzie dalej walczył.

Annmarie nie wiedziała, jak ma usiedzieć spokojnie przez te kilka ostatnich minut. Tymczasem szybko zabandażowano nogę Diego, żeby zatamować dość duży krwotok. Matador podniósł muletę i miecz i wrócił na arenę. Zrobił jeszcze kilka uników i gdy nadszedł czas na zabicie byka, zrobił to szybko i pewnie.

Tłum wiwatował, a on, utykając mocno, podszedł do bariery w miejscu, gdzie siedziała Annmarie z Rose i Vince'em.

Wstała, a nogi tak się jej trzęsły, że nie wiedziała, czy zdoła ustać. Przechyliła się przez barierkę i odrzuciła mu kapelusz. Spojrzył na nią i na chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia, zanim odpowiedział:

– *Gracias* – i znów odwrócił się w stronę wiwatującego tłumu. Przeszedł dookoła areny, a wiwatujący ludzie rzucali mu pod nogi kwiaty, goździki tak czerwone, jak jaskrawa plama krwi na białym bandażu na nodze.

Vince i Rose zaprosili ją na kolację, ale musiała odmówić, tłumacząc się, że obiecała zjeść kolację razem z Diego.

– Może będzie musiał pojechać do szpitala – powiedziała Rose, a w jej oczach pojawiła się troska.

– Nie na długo – odparł Vince – ale będzie już pewnie dość późno, jak wróci do hotelu. Chodź z nami, zjemy coś wcześniej. – Odmówiła ruchem głowy.

– Nie, Vince, dziękuję, ale naprawdę nie jestem głodna. Chyba trochę odpocznę.

– Ale nie odpoczywała. Siedziała na ławce w ogrodzie. Słuchała śpiewu ptaków i starała się nie myśleć o Diego i o tym, co czuła, kiedy zobaczyła, że jest ranny.

Znała go dopiero od kilku dni, ale kiedy dziś widziała, jak kaleczą go ostre rogi byka, czuła ból razem z nim. Gdy jego ciało zostało rzucone na ziemię, odczuła cały impet uderzenia.

Na wspomnienie słów tak beztróska wypowiedzianych podczas ich pierwszego spotkania, ogarnęło ją przerażenie.

W końcu zrobiło się późno, noc stawała się coraz zimniejsza. Wyszła z ogrodu. Kiedy weszła po schodach na korytarz, zobaczyła Diego. Mocno utykał, w nikłym świetle na korytarzu jego twarz wyglądała bardzo blado. Zawahała się przez chwilę, wreszcie go zawołała:

– Diego... – Czekala.

– Byliśmy umówieni na kolację – odezwał się Diego – przepraszam. Jadłaś już?

– Nie, ale nie jestem głodna.

– Ja też nie.

– Widziałam krew... – powiedziała i zaczęła drżeć, ale na szczęście Diego dotknął jej twarzy, potem jego ręka powędrowała dalej, aż do karku i uspokoiła się.

– To nic takiego – odparł – nie powinnaś się tak przejmować, *muchacha*.

– Nic na to nie mogę poradzić. Kiedy się czuje... – przerwała, przymknęła oczy i pozwoliła, żeby przysunął ją bliżej do siebie.

– Tak, tak – wyszeptał. – Już dobrze. Takie rzeczy się zdarzają.

– Jeszcze nigdy nie zdarzyło się coś podobnego nikomu, kogo znam – odparła, wtulając się w jego ramię.

~ Chyba masz rację. – Objął ją mocniej. – Przepraszam za to, co się dzisiaj stało. To była twoja pierwsza *corrida*...

– I ostatnia – przerwała mu zdecydowanym tonem. – Jak ty możesz coś takiego robić? – spytała, unosząc głowę. – Jak możesz w ten sposób ryzykować?

– Nie ryzykuję życiem. To, co się stało dzisiaj, to przypadek.

Cofnęła się o pół kroku i spojrzała na niego.

– Tak się bałam...

– Moja biedna Annamaria.

Jego twarz wyglądała dziwnie smutno, był zamyślony. Ujął delikatnie jej

twarz w swoje dłonie i zbliżył usta do jej warg.

W jego ramionach czuła się jak w niebie. Nie chciała się poruszyć, kiedy ją puścił. On jednak odsunął ją delikatnie od siebie i położył dłonie na jej ramionach. Przyglądał się i wtedy miała wrażenie, że to, kim był, cała ta jego ciepła i cudowna strona, promieniowała z ciemnych oczu.

– Annamaria? – wyszeptał.

Spojrzała na niego, nie była w stanie się odezwać. W końcu oparła głowę na jego ramieniu i przytaknęła.

Diego nie włączył lampki nocnej, dopóki nie zasunął ciężkich zasłon na oknie. Kiedy odwrócił się, objął ją delikatnie i przysunął bliżej do siebie.

– Chcę się tobie przyglądać, kiedy będę cię rozbierał szepnął.

Serce łomotało jej mocno. Oparła dłonie na jego piersi. Jeszcze nie było za późno, żeby się wycofać. Spojrzała mu prosto w oczy i zrozumiała, że już było...

Diego odpiął guziki jej błękitnego swetra, dostrzegł delikatną konstrukcję jedwabiu i koronki, pod którą skrywały się drobne piersi. Poczował wilgoć w ustach. Sięgnął ku guzikom spodni, lecz jej dłoń powstrzymała go. Po chwili Annmarie westchnęła i ustąpiła...

Diego zaprowadził ją do łóżka, a kiedy usiadła, pomógł jej zdjąć buty i zsunąć spodnie. Zaparło mu dech w piersi i uśmiechał się. Samo patrzenie na nią sprawiało mu przyjemność. Kiedy zauważył, że drży z powodu panującego w pokoju chłodu, powiedział:

– Marzniesz... – i odchylił ozdobną kapę zakrywającą łóżko.

Szybko wskoczyła pod koc. Miała na sobie już tylko bieliznę. Policzki trawił rumieniec, mocno przygryzała dolną wargę.

Diego wyciągnął koszulę ze spodni, zdjął buty i powoli, nie chcąc urazić rany na nodze, zsunął spodnie. Kiedy, poza bandażem na nodze, był już całkiem nagi, podszedł do łóżka i przez chwilę przyglądał się Annmarie. Wszystko stało się tak szybko, ale w głębi serca był przekonany, że ona jest kimś wyjątkowym. Nie miał przecież zamiaru wychodzić poza ramy zwykłej przyjaźni. No, może małego flirtu. Ale kiedy tak stał i przyglądał się jej, wiedział, że jego uczucia do niej nigdy nie będą pospolite...

Zawahał się... Annmarie uniosła koc, pod którym leżała, i powiedziała:

– Chodź tu, bo tam jest zimno.

Położył się koło niej i znów ją objął. Jedną rękę wsunął jej pod głowę i zaczął całować. Pod naciskiem jego pocałunków jej usta wiotczały i rozchyłyły

się zapraszająco, uniosła ramiona i objęła go z całej siły.

Czuła, jak przylega do niej całą długością męskiego ciała, słyszała, jak szeptał jej imię... Gubiła się, miała usta równie spragnione jak on. Dotknął jej piersi i westchnęła z rozkoszy...

– Są śliczne – wyszeptał. – Takie drobne, że mieszczą się w dłoni.

Pewnym ruchem usunął biustonosz i delikatnie pieścił krągłość piersi, jednocześnie drażniąc różowe, twarde sutki. Annmarie ukryła twarz w zagłębieniu jego ramienia, żeby stłumić jęk rozkoszy, który wyrwał się jej z krtani.

– Och, Diego...

Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie i ukrył twarz pomiędzy piersiami. Zapamiętała zagłębiała palce w gąszczu jego włosów, jęknęła znów, kiedy gorące usta spoczęły na jednym z różowych wzgórków. Dłońmi mocniej objęła jego głowę, a on ujmował ustami twardniejące szczyty. Miała ciało zbyt rozpalone, zbyt osłabione oczekiwaniem, by zdobyć się na najmniejszy opór, kiedy sięgał niżej, by uwolnić ją od majteczek.

Znowu wrócił do całowania, drażnienia piersi, do pieszczenia ich wilgotnym ciepłem języka, aż rozkosz stała się już nie do zniesienia. Annmarie zaczęła nagłaco szeptać jego imię...

Położył się na niej i zaczął ją obsypywać pocałunkami, żądając, by się poddała. Zrobiła to z ochotą.

– Tylko uważaj na nogę – zdołała wyszeptać.

Ale Diego już nie myślał, zapadał się w rozkosz uniesienia, gdy ich ciała złączyły się. Krzyknęła, zdwojoną siłą uścisku ramion wyrażała zapamiętanie.

– Annamaria – szeptał Diego. – *Mi preciosa, mi alma, miqueñda Annamaria...*

Nie rozumiała większości z tych słów, ale wiedziała, że niczego podobnego jeszcze w życiu nie przeżyła, nigdy wcześniej tak się nie czuła. Drobne ciało drżało pod naciskiem muskularnej postaci. Zacisnęła mocniej ramiona, wygięła się i wyszła mu na spotkanie przy akompaniamencie cichych okrzyków rozkoszy.

Oderwał usta od jej warg, uchwycił zębami twarde, różowy szczyt i pieścił go tak długo, aż zaczęła błagać, by przestał. Mocno ujęła głowę Diego, zbliżyła do niej swoją twarz i rozpalonymi wargami poszukiwała jego ust.

Całował ją zapamiętała, niemal tracił poczucie rzeczywistości. Ogarniała go dzika, nieokiełznana namiętność, starał się opanować, nie chciał sprawić jej

bólu. Ale czuł, jak mocno go obejmowała. Znow uniosła biodra. Wyszepiała jego imię. Tego już było za wiele, dużo za wiele... Nie do wytrzymania...

– Annamaria... – Wypowiedział jej imię niczym magiczne zaklęcie.

– Tak... – odparła. – Tak... Diego... Proszę... tak!

Zakrył jej usta, chciał stłumić krzyk, lecz tylko dodał do niego swój, kiedy oboje unosili się wyżej i wyżej, porwani wirującym uniesieniem.

Po chwili wszystko zamarło, oboje oddychali ciężko. Jej ciało jeszcze drżało. Nawet nie bardzo wiedziała, co się właściwie stało. Czuła się zagubiona, zdziwiona... Czuła tylko mocne objęcia Diego, silne uderzenia jego serca. Nie rozmawiali ze sobą, leżeli, nadal objęci. Czekali, aż ich serca uspokoją się i powrócą do normalnego rytmu. W końcu Diego pocałował ją delikatnie i zsunął z twarzy jasny kosmyk włosów.

– Annamaria. – Dźwięk jej imienia zawisł niczym pajęczyna w ciszy spowijającej pokój.

Westchnęła w odpowiedzi. Gładził ją po plecach, mówił, , do niej po hiszpańsku, opowiadał o tym, jak jest piękna i jaka była cudowna. Powiedział jej, że nigdy nie czuł czegoś podobnego z żadną inną kobietą. I wyznał jej, że chyba się w niej zakochał.

Urzekał ją dźwięk tych słów, ale nic nie rozumiała. W końcu powiedział po angielsku:

– Śpij już, kochanie.

Sięgnął do lampki nocnej i zgasił światło. Poczul, jak jej ciało leży swobodnie, odprężone. Wiedział, że już śpi. Ale on długo jeszcze nie mógł zasnąć.

Rozdział 4

O świcie rozdzwoniły się dzwony kościołów w Santa Catarina. Annmarie poruszyła się i przysunęła bliżej do Diego. Wciąż oddychał bardzo równo. Myślała, że jeszcze śpi. On jednak poruszył ręką i zbliżył się do niej.

– *Buenos dids, querida* – powiedział i zaczął delikatnie drapać ją po plecach.

Wciąż nie otwierał oczu. Przyglądała się uważnie jego twarzy. Miał wystające kości policzkowe i nieduży nos. Dzięki oczom w kształcie migdałów jego twarz nabierała egzotycznego wyrazu. Włosy miał kędzierzawe, czarne jak skrzydła kruka, a skórę o głębokim, słonecznym odcieniu brązu. Powędrowała spojrzeniem niżej, przyglądała się tym fragmentom ciała, które pozostawały nie zasłonięte przez koc. Miał szerokie ramiona, a na klatce piersiowej tylko kępkę włosów.

– No i co o tym myślisz? – spytał z uśmiechem. – Że jestem brzydkim facetem, który ma nieowłosioną klatkę?

– Nie jesteś brzydki, a poza tym nie lubię owłosionych torsów.

– Bogu dzięki za to. – Pocałował ją w czubek głowy. – Co chcesz dzisiaj robić?

– A ty dziś nie walczysz? Pokręcił przecząco głową.

– Nie, przez najbliższych kilka dni nie.

– Dlaczego to robisz?

– *Torear*? – wzruszył ramionami – Bo to jest moje zajęcie, zawsze to robiłem.

Diego chciał jej wytłumaczyć, dlaczego walczy, bo wydawało mu się ważne, żeby to zrozumiała. Ale jak można komukolwiek, a tej młodej Amerykance w szczególności, wyjaśnić dlaczego on, czy inni, walczą z bykami? Jak mógł opisać to uczucie dumy, kiedy młody człowiek po raz pierwszy zakłada strój toreadora? Jak miał sprawić, żeby zrozumiała oddanie, pasję, poświęcenie i... tak, i strach, który towarzyszy każdemu w tych ostatnich chwilach przed wejściem na arenę, kiedy zostaje się samemu w pokoju, kiedy czyni się znak krzyża i modli do Matki Boskiej z Gwadelupy o odwagę, by walczyć dzielnie i dobrze? Miał trzydzieści dwa lata. Walczył od szesnastego roku życia i, jeśli będzie miał szczęście, będzie walczył jeszcze przez pięć, może sześć lat.

Annmarie podciągnęła wyżej koc, przykryła ramiona sobie i jemu.

– Tak bardzo chcę to wiedzieć – powiedziała – proszę, pomóż mi to zrozumieć.

Znowu złożył czuły pocałunek na jej włosach.

– Trzeba się tu urodzić – odparł – żeby zrozumieć, czym dla nas jest corrida.

Ułożył się inaczej, żeby było jej wygodniej w jego ramionach, i próbował dobrać odpowiednie słowa, żeby wyjaśnić, dlaczego mężczyźni zostają matadorami.

Pokusa zdobycia dużych pieniędzy stanowiła z pewnością jeden z powodów, podobnie jak sława. Ale było coś jeszcze. Coś o wiele ważniejszego niż pieniądze czy sława. Zadowolenie i satysfakcja z tego, że wykonuje się coś tak trudnego, tak niebezpiecznego. I to cudowne uczucie radości, kiedy udaje się minąć o włos ostre rogi wielkiego, wściekłego zwierzęcia, które trzy – lub czterokrotnie przewyższa cię wagą. Radość z robienia tego z gracją, z godnością. Radość ze zwycięskiego wyjścia ze śmiertelnego pojedynku.

– Prawie każdy chłopak w Meksyku czy w Hiszpanii marzy o tym, żeby zostać matadorem – zaczął. – Tak samo jak prawie każdy chłopak w twoim kraju chce zostać graczem w baseball czy mistrzem w piłce nożnej. W Meksyku chłopiec wzrasta słysząc zewsząd o bykach, zwłaszcza jeżeli dorasta na ranczu, tak jak ja. Moi starsi bracia też bawili się z bykami i kiedy miałem pięć albo sześć lat, dali mi czerwoną koszulkę, żebym udawał, że jestem matadorem. Kiedy miałem piętnaście lat, odwiedził nas mój wuj.

Akurat wtedy trwała u nas fiesta i wuj zobaczył, jak bawię się w matadora. Potem rozmawiał z moim ojcem i powiedział mu, że chciałby mnie ćwiczyć w walkach. Moja matka nie chciała się zgodzić, ale myślę, że wiedziała, jakie to było dla mnie ważne i w końcu dała mi swoje błogosławieństwo.

Lekkim ruchem zdjął niesforny kosmyk włosów z jej twarzy.

– Mój ojciec już nie żyje, ale matka wciąż mieszka w naszej małej miejscowości w pobliżu Guadalajary. Zabiorę cię tam, żebyś mogła ją poznać, zanim wyjedziesz z Meksyku. – Objął Annemarie mocniej. Nie mógł znieść myśli o tym, że ona kiedyś będzie musiała wyjechać. Mówił dalej: – Więc przyjechałem tu i żyłem na ranczo mojego wuja, niedaleko Santa Catariny. On zmarł w zeszłym roku i zostawił mi to ranczo. Tu właśnie przyjadę, kiedy wycofam się z corridy.

Annmarie spojrzała na niego. Wzięła go za rękę. Była delikatna, gładka, mocna, z krótkimi, zaokrąglonymi paznokciami.

– Jesteś delikatnym mężczyzną – powiedziała. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego zajmujesz się takim... takim okrutnym, krwawym sportem.

Poczuła, jak jego ciało napręża się, tak samo jak tamtej nocy, kiedy się poznali.

– No to pogadajmy o polowaniach – odparł chłodno. – Wy, tam w Ameryce, zajmujecie się polowaniem na grubego zwierza tylko po to, żeby zdobyć cenne trofea, które potem wieszacie na ścianach. Albo pogadajmy o tych facetach, którzy wydają duże pieniądze na kosztowny sprzęt, by mogli nadzieć na haczyk piękną rybę i męczyć ją przez kilka godzin, zanim zdołają ją wreszcie wyciągnąć z wody. – W jego głosie wyraźnie brzmiał gniew, – Albo o małych zwierzątkach, które się morduje na futra dla żon bogatych facetów. Albo o zawodowych bokserach, którzy za pieniądze rozbijają sobie twarze na krwawą miazgę. Albo o...

– Proszę... – Annmarie położyła palec na jego ustach. – Nie gniewaj się. Ja chcę to zrozumieć, ale to takie trudne. Wszystkich tamtych okropności też nie potrafię pojąć.

Diego głośno wypuścił powietrze, – Przepraszam – pocałował ją – wcale nie chciałem wygłaszać ci mądrych mów.

– Może powinniśmy już wstać?

– A może nie powinniśmy? – Jednym palcem ujął ją pod brodę i podniósł jej twarz ku swojej. – Tak pięknie wyglądasz...

– Diego...

Powstrzymał słowa pocałunkiem. Pocałunkiem, który coraz bardziej ich rozpalał, rzucał oboje ponownie w wir zapamiętania. Kiedy westchnęła głośno, przytulił ją jeszcze mocniej.

– *Queénda* – spytał – czy ty sobie zdajesz sprawę, co ze mną robisz? Wystarczy, że cię dotykam, a znów mam osiemnaście lat, a moje ciało szaleje z pożądania.

– Ja czuję to samo – odpowiedziała cicho. – Nie zdawałam sobie sprawy... aż do ostatniej nocy... nie przypuszczałam, że mogę coś podobnego odczuwać. Nie wiedziałam, że kobieta może coś podobnego przeżyć... Nigdy... – Była zbyt zakłopotana, by mówić dalej, przywarła do jego ust.

Diego próbował obrócić się tak, by znaleźć się nad nią, ale nagle z jego krtani wyrwał się jęk i opadł na swoje miejsce.

– To ta twoja noga, prawda? – Na twarzy Annmarie pojawił się wyraz zatroskania – O, Diego, zupełnie zapomniałam o niej.

- W porządku, nie martw się.
- Ale...
- Nic nie mów, tylko mnie pocałuj...

Jej usta spotkały się z wyczekującymi wargami Diego. Ten uniósł ją lekko i pociągnął ku sobie. Całym ciałem poczuła jego nagość, narastającą siłę męskości... Zadrżała. Pociągnął ją jeszcze mocniej i znalazła się na nim. Znów trzymał jej twarz w swoich dłoniach i obsypywał deszczem pocałunków. Rozpalone, wilgotne wargi błędziły po czole, przymkniętych oczach, nosie, ustach, szyi tak długo, że myślała, że już traci przytomność z podniecenia. Wtedy podniósł ją nieco.

Serce biło raptownie z pożądania i z miłości... Długie, jasne włosy opadły do przodu, częściowo zasłaniając krągłe piersi. Wydawała ciche pomruki zadowolenia. Trzymał mocno jej biodra i starał się nie angażować, ale ten zamiar przekraczał jego możliwości opanowania własnego ciała.

Annamarie poruszała się powoli, delikatnie, jakby wstydliwie. Bardzo chciała, żeby było mu dobrze, ale nie wiedziała, co właściwie powinna robić, czego oczekiwał... Nagle niezdecydowanie i zawstydzenie gdzieś zniknęły. Poczowała ogień w ciele, a kiedy Diego zaczął jeszcze pieścić jej piersi, krzyczała z rozkoszy. Teraz poruszali się jak jeden organizm. Szybciej i szybciej... Diego objął ją mocno i przylgnęli do siebie.

– Anna... Annamaria – szeptał Diego unoszony falą zapamiętania. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Drżała z rozkoszy, kiedy jego ciało przebiegały dreszcze kolejnych eksplozji. Odnalazł jej usta. Złożył na nich długi, głęboki, gorący pocałunek. Ich splecione ciała raz po raz przebiegały kolejne fale rozkoszy. Wędrował dłońmi po jej plecach, ciężkim urywanym oddechem rozpalał jej kark, przyciskał do siebie z całej siły.

– Nigdy nie pozwolę ci odejść, moja ukochana Annomario – szeptał – nie po czymś takim. *Mi amor, miquerida gringa, mi muchachita.*

Nie potrafiła oderwać się od niego, zasłuchana, jak po hiszpańsku opowiadał jej, że bardzo ją kocha i jest dla niego ważna...

Diego wiedział, że chociaż mówił to wszystko pod wpływem niedawnego uniesienia, to każde słowo było prawdą.

Rose siedziała już w jadalni, kiedy zeszli na śniadanie. Spytała Diego o nogę i uniosła nieco brwi, kiedy usłyszała, jak zamawia na śniadanie świeży sok pomarańczowy, papaję, jajecznicę, szynkę, naleśniki i *café eon leche*.

– Wybieram się rano do sierocińca – powiedziała do Annmarie. – Może miałabyś ochotę pójść ze mną?

Annmarie spojrzała na Diego.

– Mam kilka spraw do załatwienia – wyjaśnił – ale po południu wybieram się na ranczo. Pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę pojechać ze mną. Ciebie też zapraszam, Rose.

– Dzięki, Diego, ale ja i Vince mamy już pewne plany odparła Rose. – No i jak? – zwróciła się do Annmarie. Masz ochotę zobaczyć sierociniec?

– Oczywiście, dzięki za zaproszenie.

Rose wstała i odsunęła krzesło.

– To zastukaj do mnie, jak już skończycie śniadanie. Do zobaczenia, matadorze – uśmiechnęła się do Diego.

– Nie masz nic przeciwko złożeniu wizyty w sierocińcu? – spytał Diego, kiedy Rose już wyszła z jadami.

– Przeciwno? Skądże? Z chęcią obejrzę ten sierociniec.

– Tylko nie zaangażuj się.

– Dlaczego miałabym się od razu angażować?

– Mam na myśli dzieci... – Zawahał się na moment. – Chodzi mi o to, żebyś się nie zaangażowała emocjonalnie. Tym dzieciakom wszystkiego brakuje. – Zamknął jej dłonie w swoich. – Nie chciałbym, żebyś była przez to przygnębiona.

– Idę tam tylko na kilka godzin, Diego. Mowy nie ma o żadnym zaangażowaniu się w cokolwiek.

Już godzinę później ta pewnośc opuściła Annmarie. Weszły do sierocińca wprost z zalanej słońcem ulicy. Znalazły się w długim, mrocznym korytarzu. Po prawej stronie znajdowała się mała kaplica z czterema drewnianymi ławkami. Ołtarz był przykryty kawałkiem czerwonego, mocno już wysłużonego, materiału. W zniszczonej twarzy figury Matki Boskiej brakowało kawałka nosa, Kiedy ruszyły dalej, wybiegła im na spotkanie ubrana na czarno zakonnica.

– *Como estd*, siostró? Chciałabym, żeby siostra poznała moją przyjaciółkę, Annmarie Bannister – powiedziała Rose na powitanie zakonnicy.

– *Mucho gusto* – odparła zakonnica, podając Annmarie dłoń na powitanie. – Proszę dalej. Starsze dzieci przebywa– ją teraz w szkole, ale młodsze są tutaj. Bawią się na podwórku.

– Dziękuję, siostró – odparła Annmarie i ruszyła w ślad za Rose i zakonnica. Po chwili jej oczom ukazało się malutkie podwórko i około trzydzieścioro dzieci

bawiących się na twardej, zimnej, całkowicie pozbawionej śladu trawy ziemi.

– *Hola, Señora Rose!* – Dzieci radosnym okrzykiem powitały swojego gościa i lękliwie zaczęły przyglądać się Annmarie.

– To moja przyjaciółka, Annmarie – przedstawiła Rose. – Przyszła tu z wizytą.

Wyjęła niewielkie zawiniątko z torby i podała je Annmarie ze słowami:

– Kupiłam im wczoraj kilka opasek na włosy. Mogłabyś im rozdać? Chciałabym zamienić dwa słowa z siostrą.

– Jasne – odpowiedziała natychmiast Annmarie i zwróciła się do dzieci swoją ubogą hiszpańszczyzną: – Może teraz usiądziemy na ławce razem, a ja wam dam wasze opaski?

Ruszyła w stronę ławki otoczona wianuszkami dzieci. Usiadła i otworzyła paczkę. Był tam z tuzin różnokolorowych opasek na włosy, a przed nią stało szesnaście lub siedemnaście małych, bardzo podekscytowanych dziewczynek. Zaczęła rozdawać prezenty. Ostatni trafił w ręce pulchnej dziewczynki z krótkimi, prostymi włosami i świeżą raną na policzku. Mała natychmiast nacisnęła błękitną opaskę na głowę, trochę za głęboko, więc prawie nic nie widziała. Koleżanki zaczęły chichotać. Jedna z nich, ładna dziewczynka z długimi, ciemnymi włosami, dla której zabrakło opaski, zacisnęła wargi. Broda jej zadrżała, a po policzkach potoczyły się dwie wielkie łzy. Annmarie przyjrzała się jej i znów spojrzała na pulchną dziewczynkę, która dumnie paradowała z przekrzywioną opaską na czole.

– A może lepiej wyglądałaby na twojej koleżance z długimi włosami – powiedziała Annmarie i wyciągnęła rękę, by odebrać błękitną opaskę.

Dziewczynka oddała prezent bez słowa. Potem ukryła twarz w sukience i zaczęła szlochać. Annmarie przyglądała się jej przez chwilę, a potem wzięła ją na kolana i zaczęła kołysać do przodu i do tyłu.

– Przepraszam – szeptała i gładziła ją po krótkich włosach. – Bardzo przepraszam, dziecinko.

Została z nimi aż do obiadu. Potem wyszła i wróciła po godzinie, niosąc ze sobą jeszcze więcej opasek dla dziewczynek i kilka samochodzików dla chłopców.

Rose kręciła głową z niedowierzaniem. Potem powiedziała z ciepłym uśmiechem:

– Widzę, że i ciebie złapały. Wiedziałam, że tak będzie.

Zatem jutro o tej samej porze, tak?

Annmarie kiwnęła potakująco głową. Wiedziała, że już teraz nie byłaby w stanie omijać tego miejsca. Nawet gdyby bardzo próbowała.

Po południu Diego i Annmarie pojechali na ranczo. Piętnaście kilometrów za Santa Catarina Diego skręcił w wąską drogę, wiodącą wśród wzgórz i zielonych pastwisk.

– Byki są na tamtym stoku, po lewej stronie – powiedział – ale teraz ich nie widać. Możemy później je obejrzeć, jeśli będziesz miała na to ochotę.

– Dużo czasu tu spędzasz?

– Nie tyle, ile bym chciał. Mam tu swojego zarządcę. Nazywa się Pepe Rodriguez. Zajmuje się tu wszystkim podczas mojej nieobecności.

– I to właśnie tutaj masz zamiar zamieszkać, kiedy przejdiesz na emeryturę?

– Tak. – Diego kiwnął głową potakująco. – Tu jest bardzo przyjemnie. Nie chciałbym mieszkać gdziekolwiek indziej.

Wziął ją za rękę.

– Opowiedz mi o swoim domu.

– Mam małe mieszkanie – odparła, wpatrując się w odległe wzgórza. – Moi rodzice sprzedali dom, w którym się wychowywałam. W zeszłym roku, kiedy zaczęli tę całą procedurę rozwodową.

Nie chciała o tym rozmawiać, udała, że zapatrzyła się na wzgórza i pastwiska.

– O, tam jest dom – wskazał Diego. – Tam, widać go między drzewami.

Był to duży dom, w starym hiszpańskim stylu. Jaskrawoczerwone kwiaty pnącza doskonale ożywiały jedną z białych ścian budynku i część dachu pokrytego dachówką. Kiedy podjechali bliżej, Annmarie zauważyła, że kuta w żelazie brama jest otwarta, a przed domem jest ukwiecone patio z fontanną na środku. Diego zatrzymał samochód i podszedł do drzwi po stronie Annmarie.

– Chodź, pokażę ci mój dom. Jest takie powiedzenie: *Mi casa es tu casa*. Słyszałaś to już kiedyś?

– Nie... przykro mi...

– To znaczy, że mój dom jest twoim domem. – Wziął ją za rękę. – Chodź, Annomario, obejrzyj swój dom.

Spojrzała na niego i słowa uwięzły jej w krtani. Zanim zdołała cokolwiek z siebie wykrztusić w odpowiedzi, podeszła do nich kobieta w średnim wieku. Ubrana była w długą, czarną sukienkę, przepasaną nieskazitelnie białym fartuchem. Kiedy podeszła bliżej, powiedziała:

– *Hola*, Diego. Nie wiedziałam, że tu dziś wpadniesz.

Jadłeś już obiad? Dlaczego nie dałeś znać, że przyjeżdżasz?

– Przepraszam, Juanito. – Wziął Annmarie pod ramię. – A to jest *Señorita* Bannister. Chciałem jej pokazać ranczo. – Zwrócił się następnie do Annmarie: – Poznaj Juanitę, moją gospodynię, to ona zajmuje się prowadzeniem tego domu.

– Miło mi – Annmarie na powitanie wyciągnęła rękę.

– *Mucho gusto* – odparła Juanita i entuzjastycznie uściśnięła dłoń Annmarie. – Proszę do środka. Gorąco tu w słońcu. Może napije się pani czegoś chłodnego? Na przykład lemoniady?

– Doskonały pomysł, poproszę lemoniadę. – Annmarie rozejrzała się dookoła. Prawie całą jedną ścianę zajmował imponujący, zbudowany z surowego kamienia kominek. Wzdłuż drugiej stała półka z piętrzącymi się na niej książkami. Po obu stronach kominka rozpierały się duże, wygodne, skórzane sofy. Poza tym w pokoju znajdowało się kilka dużych krzeseł, czarny, mahoniowy stolik do kawy i kilka mniejszych stolików. Na gzymsie kominka ustawiono dwa kute świeczniki z grubymi, białymi świecami. Nad kominkiem wisiał plakat informujący o walkach byków w Sewilli, w Hiszpanii.

Annmarie uśmiechnęła się do Diego i powiedziała:

– Typowy męski pokój. Bardzo mi się podoba. Zrobiła mu tym dużą przyjemność.

– Chodź, pokażę ci resztę domu.

Jadalnia była równie obszerna jak salon. Był tam długi stół, przy którym mogło wygodnie siedzieć dwudziestu biesiadników, krzesła z wysokimi oparciami i miękkimi siedzeniami. Kiedy już obejrzała sobie kuchnię – duże, przestronne pomieszczenie z wnęką na małą jadalnię, z której okna wychodziły na ogród, Diego zaprowadził ją na zewnętrzny korytarz.

– To wszystko pokoje gościnne – powiedział, wskazując na kolejne drzwi. – Od czasu do czasu udaje mi się przekonać mamę, żeby mnie odwiedziła, czasami przyjeżdżają tu moi bracia z rodzinami. – Wreszcie otworzył drzwi na końcu korytarza. – A to jest mój pokój.

To pomieszczenie również miało typowo męski wystrój. Główny akcent stanowiło łóżko istic królewskich rozmiarów. Całe umeblowanie było czarne i ciężkie, rozsuwane szklane drzwi wiodły na mały balkon, na którym stały dwa wygodne fotele i mały, okrągły stolik.

– Tu jadam śniadanie, kiedy jest ciepło.

– Wszystko tu... – uśmiechnęła się – bardzo męskie.
– Właśnie – przytaknął. – Wszystko w tym domu wymaga kobiecej ręki.
Spojrzała na niego, potem szybko odwróciła wzrok.
– Masz tu Juanitę, sprawia wrażenie zaradnej.
– Jest bardzo zaradna – przyznał i zamyślił się na chwilę. – Jak skończy się fiesta, będę miał jeszcze tydzień, zanim wyjadę do Hiszpanii. Mam zamiar spędzić ten czas tu, na ranczu. Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.
– Nie mogę...
– Myślałem, że amerykańskie kobiety są wyzwolone. – Uśmiechnął się do niej serdecznie.
– Ale nie ta kobieta.
– Zależy mi na tobie, Annomario, chcę być razem z tobą.
– Ja również, ale ty niebawem wyjedziesz z Meksyku, podobnie jak ja.
– Możesz jechać ze mną do Hiszpanii. – Już kiedy wypowiadał te słowa, wiedział, że postąpił głupio, składając taką propozycję. Ona nie rozumie, o co chodzi z tymi bykami... i niebawem wróci na Florydę. Nie potrzebował ani nie chciał żadnych zobowiązań. Aczkolwiek...
– Znał też inne kobiety. Piękne, zmysłowe kobiety w Meksyku i w Hiszpanii. Kobiety, które nosiły ubrania specjalnie dla nich projektowane, których paznokcie były zawsze idealnie wypielęgnowane, fryzury i makijaże zawsze doskonałe. Ta kobieta nie malowała paznokci, prawie nie stosowała makijażu, a włosy miała zawsze rozpuszczone i potargane wiatrem. Ale dawała mu tyle radości, ile nie odczuwał dotąd z nikim innym.
– Nie wiem, co ty ze mną robisz, ale kiedy tylko patrzę na ciebie, moje ciało od razu płonie. A jak tylko cię dotknę, to od razu chciałbym móc unieść cię w jakieś ciche i mroczne miejsce, gdzie mógłbym cię całować tak długo, aż oboje drżelibyśmy z podniecenia. – Przyciągnął ją do siebie i szeptał: – I zrobię to, Annomario. Zanim ten dzień dobiegnie końca, znów będziesz w moich ramionach.
Chciała powiedzieć coś dowcipnego, coś w stylu: „Obiecanki-cacanki”, ale jakoś nie mogła. Zdołała jedynie spojrzeć mu w oczy i wyszeptać:
– Diego... proszę... – choć nawet nie wiedziała, o co prosi.
Powstrzymał jej słowa pocałunkiem tak namiętnym, że zaskoczona aż odsunęła się od niego, ale natychmiast przyłgnęła z powrotem, jakby się bała, że bez jego pomocy potknie się i upadnie.
– Ostrzegam, że jeżeli w ciągu najbliższych dwóch sekund nie wyniesiemy

się stąd, to będziemy się zaraz kochać... – ostrzegł tonem, w którym już wyraźnie słyhać było narastające podniecenie. Nagle, bez słowa, wziął ją za rękę i wyszli do patio, gdzie spokojnie zaczęli popijać lemoniadę przygotowaną przez Juanitę. Rozmawiali o miłych, całkowicie pozbawionych znaczenia rzeczach. Starali się nie mówić o tęsknocie za tym, żeby móc wreszcie dotknąć się nawzajem.

Tego wieczoru zjedli kolację w małej restauracji przy bocznej uliczce. Po kolacji poszli na spacer na główny plac, gdzie grała jakaś orkiestra, może niezbyt czysto, ale za to z wielkim entuzjazmem. Dzieci biegały hałasując między straganami z balonami, prażoną kukurydzą i *tacos*. Beztrosko ochlapwały się wodą z fontanny. Młodzi pomocnicy ranczerów, odziani w obcisłe spodnie, ozdobione pasami ze srebrzystymi klamrami, w butach z wysokimi cholewami, wyczyszczonymi do połysku, przechadzali się dookoła placu, raz po raz rzucając wyzywające spojrzenia dziewczętom z Santa Catariny, które szepcząc i żartując między sobą krążyły parami lub trójkami po placu w odwrotnym kierunku.

Kiedy zrobiło się już późno, muzycy spakowali swoje instrumenty i poszli spać. Rodzice pozbiali swoje dzieci i tłum powoli się rozchodził. Dziewczęta z Santa Catariny wróciły do domów, a chłopcy wskakiwali do furgonetek albo spieszyli się na ostatni autobus opuszczający miasto.

Kiedy zegar na wieży kościelnej wybił godzinę dwunastą, Diego objął Annmarie w talii i powiedział:

– Czas wracać do domu.

Rozdział 5

Dom. To dziwne określenie dla małego pokoju, gdzieś na bocznej, słabo oświetlonej uliczce, w kraju, w którym ledwo mogła dogadać się w sklepie z pieczywem. A jednak właśnie tutaj, razem z Diego, czuła się bardziej w domu niż kiedykolwiek u rodziców czy nawet u siebie w wynajętym samodzielnie mieszkaniu.

Diego znała tak krótko. Niewiele wiedziała o tym kraju, a o nim samym właściwie nic. A mimo to była z nim związana bliżej niż z kimkolwiek innym.

Przez całe życie zawsze jakaś jej część czuła się obco, źle. Zawsze się jej wydawało, że umie tylko stać obok i przyglądać się, jak inni ludzie potrafią się cieszyć, jak potrafią być szczęśliwi. A teraz, po raz pierwszy w życiu, odnalazła radość przynależności.

Z wyjątkiem pewnej krótkotrwałej znajomości pod koniec studiów, Annmarie właściwie nie miała żadnych doświadczeń z mężczyznami. Wiedziała, że w pewnej mierze przyczyniło się do tego całkowicie nieudane małżeństwo jej rodziców. Dorastała w atmosferze nieustającego napięcia i nie kończących się kłótni. Wspomnienie pokrzykujących na siebie rodziców było wciąż bardzo wyraźne.

A ona, jak widz meczu tenisowego, raz patrzyła na ojca, raz na matkę, denerwowała się razem z nimi, bała się cokolwiek powiedzieć, żeby nie pogorszyć i tak trudnej sytuacji.

Kiedy podrosła, przysięgła sobie, że jeżeli kiedykolwiek wyjdzie za mąż, nigdy nie będzie żyła tak, jak jej rodzice. Postanowiła, że raczej zostanie sama, niż wyjdzie za pierwszego lepszego i będzie się z nim męczyć do końca życia. Ranić i być ranionym... Jej rodzice ranili się wzajemnie... i ją przy okazji.

Małżeństwo potrafi być bardzo trudną rzeczą nawet dla dwojga ludzi, którzy pochodzą z podobnych środowisk, a co dopiero w sytuacji, kiedy tak bardzo się różnią, jak ona i Diego.

Ale właściwie Diego nie wspomniał słowem o małżeństwie ani o żadnym innym rodzaju wzajemnych stosunków. zaproponował jedynie, żeby została z nim na ranczu przed jego wyjazdem do Hiszpanii. No, jeszcze wspomniał o tym, żeby pojechała z nim do Hiszpanii. Ale chociaż wmawiała sobie, że nie interesują ją żadne poważne związki, sama myślała, że dla Diego może być tylko kolejną wakacyjną *gringo*, z którą będzie nie dłużej, niż trwa fiesta,

wywoływała ból. Cierpiała też, podejrzewając, że ich znajomość skończy się razem z fiestą.

Takimi myślami torturowała się Annmarie, kiedy powoli wracali do hotelu wąskimi, brukowanymi uliczkami poprzez ciche, zapadające w sen miasto. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał jej, że powinna sama przerwać tę znajomość, zanim sprawy zajdą za daleko. Im dłużej to trwa, tym trudniej będzie się rozstać. Fiesta już wkrótce się skończy. Diego pojedzie do Hiszpanii, a ona wróci na Florydę. Czy nie lepiej byłoby przerwać tę ich znajomość teraz, zanim sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje?

Nie mogła dobrać odpowiednich słów, żeby powiedzieć o tym Diego. Dotarli do pokoju. Odetchnęła głęboko i... Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, pocałował ją żarliwie, otworzył drzwi i wprowadził do ciemnego pomieszczenia.

– Co się stało? – spytał – Co cię tak martwi? Czy to przez to, że poprosiłem cię, żebyś została ze mną na ranczu?

– Nie, to nie to... – odpowiedziała – ale... coś takiego jest zupełnie niemożliwe.

– A co może być dla nas niemożliwe? Skoro jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Kiedy bardziej niż cegokolwiek innego na świecie, pragnę być z tobą... – Diego uniósł jej twarz. – Przecież, Annmarie, to nie musi się skończyć tu, w Meksyku. Możesz jechać ze mną do Hiszpanii. Najpierw mam walki w Madrycie, potem pojechalibyśmy na Costa del Sol, bo podpisałem kontrakty w Sewilli i w Barcelonie. Spacerowalibyśmy wieczorami po promenadzie, a ja kupowałbym ci całe naręczka kwiatów... – Pocałował ją. – Musisz jechać ze mną – dodał pewnym tonem.

Annmarie pokręciła głową przecząco.

– Nie... Widzisz, ja mam swoją pracę, swoje mieszkanie. Nie mogę... nie mogę tak po prostu zostawić tego wszystkiego i odejść... Nigdy dotąd z nikim nie mieszkałam, Diego.

– Miałem nadzieję, że nie. Ale nam udało się odnaleźć coś szczególnego, coś wyjątkowego... Wiem, że wszystko to stało się tak nagle i niespodziewanie, ale przez to nie jest ani trochę mniej prawdziwe. Dzięki tobie przeżywam uniesienia, których nigdy dotąd nie znałem. Wydaje mi się, że ty też.

Delikatnie muskał jej usta swoimi wargami.

– Annomario, zrozum, potrzebujemy czasu, żeby się lepiej poznać, a nie wiem, jak mamy ten czas znaleźć, jeżeli nie pojedziesz ze mną do Hiszpanii.

Spostrzegł wątpliwość, wahanie malujące się na jej twarzy. A ponieważ bał się tego, co mogła odpowiedzieć, pocałował ją. Nie chciał teraz zbędnych słów. Pragnął tylko jej. To nieodparte, nieokiełznane pożądanie narastało w nim od tamtej sceny w jego sypialni na ranczu. Ta niepewność, którą dostrzegł w jej oczach, działała jak dodatkowy bodziec. Bardzo jej pragnął.

Całował ją powoli, z rozmysłem. Trzymał ją tak, że nie mogła mu uciec. Wiedział, że wykorzystuje jej brak doświadczenia, ten płomień, który w niej wcześniej rozpalił. .. Na samo wspomnienie minionego wieczora jego ciało zadrżało z rozkoszy. Nie mógł się nią nacieszyć, wciąż było za mało pocałunków, pieszczot, ognia... Kiedy jej usta rozchyliły się zapraszająco, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Szybko ją położył i przylgnął! do niej całym ciałem.

– Diego... – Wystraszona jego gwałtownością, próbowała się uwolnić, ale trzymał mocno. Rozpiął guziki jej koszuli, odsunął biustonosz i zaczął pieścić piersi.

– Ach, mi Anna, mi Annamaria, jak ja uwielbiam tak cię dotykać.

Pochylił się i zaczął całować namiętnie twarde i uniesione sutki.

Annmarie chciała zaprotestować. Ale tak mocno ją obejmował, że z trudem oddychała. Cały czas pieścił i drażnił gorącym, wilgotnym językiem. Dopiero kiedy jej ciało odprężyło się w uległym oczekiwaniu, rozluźnił swój uchwyt. Szybko ją rozebrał i rzucił ubranie na krzesło. Sam równie szybko pozbył się koszuli i spodni. Kiedy zdejmował but z rannej nogi, jego twarz na chwilę wykrzywił grymas bólu, ale zignorował to i po chwili już stał nagi przed Annmarie.

– Nie mogę się doczekać – powiedział i obróciwszy ją ku sobie połączył ich ciała w jeden pulsujący uniesieniem organizm.

Gdzieś w głębi jego mózgu zapaliło się światełko alarmowe, że ta porywczność, gwałtowność, może ją wystraszyć. Ale nie potrafił się powstrzymać. Musiał ją osiąść tej nocy, natychmiast, bo bał się, że ona wkrótce go opuści. Krew uderzyła mu do głowy, wykrzykiwał jej imię, kiedy jego ciało przeszywały kolejne fale rozkoszy, aż do ostatecznego spełnienia.

Zagubiony, zaskoczony swoją reakcją, słysząc łomotanie własnego serca, opadł na nią bez sił. Leżał przez chwilę nieruchomo.

– Przepraszam – szepnęła cicho. – Nie chciałem, żeby to było w ten sposób, ale...

Annmarie uniosła ręce i gładziła go po ramionach i plecach, żeby przywrócić

mu spokój. Pod wpływem tego dotyku coś w środku Diego pękło, zwiotczało. Ukrył twarz w jej piersiach i objął ją tak mocno, jakby nigdy nie chciał puścić.

Czuł, że jest zmęczony bardziej niż kiedykolwiek. Postanowił na chwilę przymknąć oczy. Zasnął natychmiast.

Kiedy się obudził, sięgnął ręką w jej stronę, ale nikogo tam nie było.

– Annamaria? – szepnął wystraszony, że go opuściła i usiadł na łóżku. Uspokoił się, kiedy usłyszał prysznic w łazience. Przebiegi dłonią po włosach i powoli spuścił nogi na ziemię. Ranna noga bardzo go bolała, więc zanim wstał, musiał ją przez dłuższą chwilę masować. Łazienka była pełna pary. Nie chciał wystraszyć dziewczyny, więc najpierw zawołał ją, a dopiero potem odsunął zasłonę prysznic i wszedł pod strumień gorącej wody.

Odwrociła się raptownie i przyglądała mu się zdziwiona.

– Myślałam, że śpisz.

– Spałem. A teraz pozwól, że cię umyję.

Chciała zaprotestować, ale delikatnie ją obrócił i zaczął namydlać jej plecy. Miała miękką skórę, zaróżowioną od gorącej wody. Robiła się śliska, kiedy delikatnie rozprowadzał mydło po plecach i krągłych pośladkach. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie, czuł cudowną miękkość jej ciała. Dotarł dłońmi do naprzężonych krągłości piersi. Zaczął je pieścić.

Annmarie wyszeptala jego imię i odwróciła się. Odrobinka mydła zawisła zapomniana na jednym z różowych szczytów jej piersi. Delikatnie usunął ją... a ciało Annmarie przebiegł dreszcz.

– Proszę cię, wybac mi. Nie byłem dla ciebie dobry, tak mi przykro...

Na jej twarzy pojawił się rumieniec. . – To nieważne...

– Ależ ważne, i to jak...

Znowu namydlił jej ramiona i piersi. Westchnęła, jej wargi rozchyliły się. Przytuliła się do niego. Stała tak bez ruchu przez chwilę, pozwalając wodzie swobodnie ich obmywać. Potem cofnęła się i odezwała tak cicho, że ledwie ją usłyszał:

– A teraz ja ciebie umyję – i zaczęła pokrywać jego ciało cieniutką warstewką mydła. Diego nie znał dotąd tej formy rozkoszy. Chciałby, żeby Annmarie" nigdy nie przestawała delikatnie pieścić jego ciała. Wzrastało w nim pożądanie, ale zmusił się, by stać spokojnie. Nie chciał, żeby przestała...

W końcu zakręcił wodę i pomógł Annmarie wyjść z kabiny. Przytrzymał ją, by stała spokojnie, kiedy wycierał jej ciało. A robił to najdelikatniej, jak tylko umiał, jakby była małym dzieckiem, szczególną uwagę przywiązując do

najbardziej czutych punktów. Drżała pod wpływem jego zabiegów. Podniósł ją z posadzki i zaniósł wprost do łóżka. Do ich łóżka...

Uniosła ramiona w zapraszającym geście, ale on położył się koło niej. Czule ją pocałował.

– Tym razem należę do ciebie – powiedział.

– Diego?

– Tak, kochanie?

– Czasami prawie się boję tego, co czuję, kiedy jestem z tobą... Jest tego aż za dużo.

– Wiem, *querida*, wiem. Bo to samo dzieje się ze mną. – Odsunął jej z twarzy mokry kosmyk włosów. – Teraz też się boisz?

– Nie – szepnęła – teraz nie.

Diego czuł, jak w tym momencie jego serce wypełnia gorące uczucie miłości do tej drobnej, wstydliwej kobiety, która nim całkowicie zawładnęła. Ogrzewał ją swoimi pocałunkami, delikatnie dotykał czułymi dłońmi, mówił, jak bardzo jest piękna, ile radości i rozkoszy mu daje. Pod wpływem jego dotyku coraz bardziej się rozpalala, a on podążał szlakiem drobnych pocałunków w dół jej ciała.

– Och... Diego... – wyszeptała w uniesieniu i mocniej chwyciła jego ramiona, jakby chciała go powstrzymać. Po chwili puściła go, podążał więc dalej, a ona co pewien czas wypowiadała jego imię, niczym magiczne zaklęcie, za każdym razem burząc w nim krew... Pieścił i gładził jej skórę, zanim znalazł się nad nią. Połączył ich ciała w doskonałą jedność, a kiedy wyczuł, jak dochodzi do kresu, wycofał się natychmiast i czekał na nią... Po chwili wrócił do niej i oboje powoli zbliżali się do granicy... Czuł w gardle dziwny, nieznany ucisk. To rozkosz, zmieszana z zadowoleniem... krok od spełnienia... Ich przyspieszone oddechy splatały się z szeptami, gdy wspinali się na szczyty uniesienia po to, by po chwili spaść z powrotem na ziemię...

Oboje wyczerpani i wzmocnieni jednocześnie, powracali w bezpieczne schronienie swoich ramion.

Wtedy Diego z równą pewnością wiedział już to, że ją kocha, jak to, że rano znów wszędzie słońce.

Aż do śniadania Diego nie powiedział nic o dzisiejszej walce. Kiedy usłyszała o tym, jej twarz była blada z przerażenia.

– Twoja noga – wyszeptała. – Nie możesz tego zrobić, Diego.

– Już jest dużo lepiej. Poza tym będę miał mocno związany bandaż, to

pomaga. Mam nadzieję, że przyjdiesz.

Przez chwilę przyglądała mu się ponad stołem, aż wreszcie odpowiedziała:

– Tak, przyjdę.

Poprosił ją, żeby poszła razem z nim na *sorteo*, losowanie byków, z którymi poszczególni matadorzy będą walczyć, bo chciał, żeby zrozumiała wszystko, co jest związane z *corridą*. Zgodziła się. Kiedy tam dotarli, wszyscy już byli na miejscu: pozostali dwaj matadorzy, *banderilleros* i menedżer Diego – Manolo Hurtado.

– Tak się wybiera byki, z którymi mamy potem walczyć – tłumaczył jej spokojnie. – Najpierw bierze się te trzy, które wyglądają na najlepsze. Potem łączy się je w pary z trzema innymi, na zasadzie przeciwieństw: najcięższy z najlżejszym, ten z najdłuższymi rogami z takim, który ma najkrótsze i tak dalej.

Annmarie przyglądała się, jak imiona i numery każdej z trzech par są skrupulatnie zapisywane na kawałeczku papieru, a potem wrzucane do kapelusza do losowania. Ciągnięcie losów odbywało się według zasady starszeństwa matadorów. Pierwszy wyciągnął swój los Diego. Przeczytał zapisane na kartce informacje, jakby przez chwilę zmartwił się, ale zaraz potem kiwnął głową potakująco.

Kiedy wyszli stamtąd, wręczył jej trzy bilety i powiedział:

– Muszę pogadać z Manolo. Nie zobaczymy się już przed *corridą*. Mam nadzieję, że nie martwi cię zbytnio perspektywa samotnego popołudnia.

– Myślałam, że zjemy razem obiad.

– Matadorzy nie jadają nic przed *corridą* – odparł.

– Czy dlatego, że jeżeli potrzebna będzie interwencja chirurga, trzeba mieć pusty żołądek?

– To tylko takie środki ostrożności.

Środki ostrożności. Nie patrzyła w jego stronę. Odezwała się po chwili, bardzo zmienionym głosem:

– Zaplanowałam sobie spędzenie kilku godzin w sierocińcu. Obiecałam Rose, że spotkamy się na miejscu.

– *Bueno*, zatem widzimy się w hotelu po *corridzie*. Vince zaproponował, żebyśmy zjedli we czwórkę kolację dziś wieczorem, zgadzasz się?

– Ależ oczywiście, Diego. – Pocałowała go na do widzenia i utrzymała uśmiech na twarzy, kiedy odchodziła. Ale już za rogiem uśmiech zniknął jej z twarzy, a dłonie zacisnęła nerwowo w pięści. Kiedy dziś przyglądała się bykom podczas losowania, nie mogła uwolnić się od myśli, że Diego ma walczyć aż z

dwoma z nich tego popołudnia. Kawalek materiału ma stanowić jego jedyną osłonę w walce z ostrymi rogami. Wiedziała, że zmusi się do pójścia na corridę, mimo ogromnego przerażenia. Diego i tak nie przestanie walczyć z bykami, ale jeżeli ona wystarczająco się wystraszy, może znajdzie w sobie na tyle siły, żeby odejść od niego. Takie właśnie myśli kłębiły się jej w głowie, kiedy szła brukowaną uliczką do Casa de Hogar, do sierocińca.

Na jej stukanie pojawiła się ta sama zakonnica, która witała ją tak serdecznie podczas pierwszej wizyty. Kiedy spytała siostrę, czy może zatrzymać się na chwilę w kaplicy przed pójściem dalej, zakonnica odparła:

– Ależ oczywiście, może pani tu spokojnie modlić się tak długo, jak długo będzie to pani potrzebne.

W kaplicy mieszały się zapachy wilgoci i kurzu. Annmarie klękła i wpatrywała się w zniszczoną figurkę Matki Boskiej. Bezskutecznie usiłowała złożyć słowa w modlitwę. W końcu tylko szeptała:

– Proszę, proszę... proszę... nie pozwól, żeby mu się coś stało. Uchron go przed tymi bykami. Osłaniaj go swoją miłością.

Powtarzała w kółko te same słowa, aż stały się one nieustającą litanią w intencji bezpieczeństwa Diego.

Wreszcie uniosła głowę. Bolały ją już kolana. Wstała i zauważyła, że na ławce tuż za nią siedzi mała, ciemnowłosa dziewczynka.

– Cześć – powiedziała do niej na powitanie i wierzchem dłoni otarła łzy, które spływały jej po policzkach podczas modlitwy.

Przypomniała sobie kilka słów z hiszpańskiego:

– *Como estds*, Maja?

– *Bień* – odparła rezolutnie dziewczynka. Jej ciemne oczy były bardzo poważne. – *Estds triste*, jesteś smutna?

– Tak, troszeczkę – odparła Annmarie. – Ale bardzo się cieszę, że znów cię widzę.

Rozległ się dźwięk dzwonka, Maja wstała.

– Czas na obiad – powiedziała i skrzywiła się.

– Nie smakuje ci obiad?

– Nie. Znowu *brijoles y arroz*, a ja tego nie cierpię – westchnęła Maja i ruszyła do wyjścia z kaplicy.

– Maja?

– Tak, *Señorita*?

– A gdyby siostra się zgodziła, miałybyś ochotę zjeść obiad razem ze mną?

Mam na myśli w restauracji...

– W restauracji? – Oczy dziewczynki otworzyły się szeroko, a twarzyczkę rozpromienił uśmiech.

– Tak – powiedziała Annmarie i wzięła dziewczynkę za rękę. – Chodź, spytamy się siostry, czy nie ma nic przeciwko temu.

Siostra Dolores wahała się przez chwilę.

– Oczywiście, że może pani zabrać ze sobą Maję na obiad. To będzie dla niej doskonała lekcja. No, umyj ręce, buzię i popraw włosy – zwróciła się do dziewczynki. *Señorita* Armamaria zaczeka tu na ciebie.

Kiedy Maja pobiegła się przygotować, Rose przyszła przywitać się z Annmarie:

– Witaj, nie widziałam cię dzień czy dwa. Rozumiem, że byłaś zajęta z Diego?

– Tak. Dał mi trzy bilety na dzisiejszą corridę. Czy ty i Vince mielibyście ochotę iść ze mną?

– Jasne. Nawet gdybym bardzo chciała, to nie udałoby mi się utrzymać Vince'a z dala od tych walk. Powiedz, a czy między tobą a Diego... to coś poważnego?

– Zdaje się, że tak, ale tak nie powinno być.

– Czemu nie?

– Fiesta skończy się za kilka dni. Diego pojedzie do Hiszpanii, a ja wrócę na Florydę.

– I wasze drogi tak po prostu się rozejdą?...

– Tak, poza tym... poza tym zaproponował mi, żebym jechała razem z nim do Hiszpanii.

– Aha!

– A co to miało oznaczać?

– Nic, zwykłe „aha”. – Rose uśmiechnęła się do niej. – No i co, jedziesz z nim?

– Ależ oczywiście, że nie!

– Rozumiem... – powiedziała Rose ze współczuciem. – Domyślam się, że życie z takim człowiekiem, jak Diego, – nie byłoby łatwe. Ciągłe martwiłabyś się o niego i nigdy właściwie nie miałabyś domu, prawda? Podróżowałibyście cały czas, mieszkalibyście w hotelach, bez wielkiej szansy zatrzymania się gdzieś na dłużej. To chyba nie jest odpowiednie życie dla ciebie.

– Nie, raczej nie – odparła Annmarie. Nie wiedziała, dlaczego słowa Rose

tak ją zirytowały. Zobaczyła, jak Maja biegnie w jej stronę. Zadowolona, że może przerwać tę rozmowę, spytała:

– Wybieram się – na obiad razem z Mają, może masz ochotę iść z nami?

– Nie, dziękuję – odparła Rose. – Zjem obiad tu, z dziećmi. – Poprawiła opaskę na włosach dziewczynki. – Ale wy dwie bawcie się dobrze.

– Na pewno – odpowiedziała Annmarie, biorąc małą za rękę.

Poszły do restauracji, w której było wewnętrzne patio i usiadły pod rozłożystym drzewem. Obrus był różowo-biały, sztucce wyczyszczone na wysoki połysk. Kelner przystawił Mai krzesło, a kiedy już usiadła, rozłożył jej na kolanach różowobiałą serwetkę.

– Na co miałabyś ochotę? – spytała Annmarie, ale Maja była zbyt zaaferowana nowym otoczeniem, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

– A co myślisz o smażonym kurczaku z ziemniakami?

Maja kiwnęła głową. Siedziała prosto, rączki trzymała na kolanach. Rozglądała się dookoła, ale była zbyt zdenerwowana, żeby się poruszyć. Annmarie zaczęła jej opowiadać o Florydzie, o Disneylandzie, o Myszce Miki i o wszystkim, co tylko przychodziło jej do głowy, byleby tylko mała odprężyła się trochę. Kiedy postawiono przed nimi kurczaka, Annmarie zawiązała małą serwetkę pod szyją i, biorąc kawałek mięsa, powiedziała:

– Kurczak podobno lepiej smakuje, kiedy się go je palcami.

Pomału Maja odzyskiwała pogodę ducha. Kiedy pojawił się przed nią wielki kawałek ciasta czekoladowego, szczebiotała już na dobre po hiszpańsku tak szybko, że Annmarie nie była w stanie jej zrozumieć.

Kiedy wróciły do Casa de Hogar, Annmarie poszła odszukać Rose, żeby jej powiedzieć, że spotkają się w hotelu. Maja wciąż trzymała ją za rękę i nagle Annmarie zorientowała się, jak trudno jej będzie opuścić te dzieci. Wreszcie udało się jej uwolnić od Mai na tyle, że mogła chwilę porozmawiać z siostrą Dolores.

– Chciałabym urządzić małe przyjęcie dla dzieci w niedzielę, o ile siostra nie ma nic przeciwko temu. Może po obiedzie przyprowadziłabym lodziarza i zrobilibyśmy dzieciom ucztę z lodami i ciasteczkami.

– To bardzo miłe z pani strony, ale też i kłopotliwe dla pani, panno Bannister – odparła siostra.

– To żaden kłopot. Jeszcze dziś zajmę się przygotowaniem. Czy druga trzydzieści to odpowiednia pora?

– Jak najbardziej. – Zakonnica uśmiechnęła się – To naprawdę bardzo miłe

z pani strony, *Señorita* Annamaria. Dzieci będą na to czekały...

Kiedy Annmarie wychodziła, Maja poszła za nią aż do drzwi.

– Zobaczymy się w niedzielę – powiedziała do małej. Urządzimy tu duże przyjęcie z lodami. Czy to nie miłe?

Maja skinęła głową.

– Muszę już iść.

Mała wciąż wpatrywała się w nią, czekała. Annmarie zatrzymała się i wzięła dziewczynkę na rękę.

– No, a teraz mnie uściskaj – poprosiła, a kiedy Maja objęła ją rączkami, Annmarie przytuliła się do małego ciała. Nie była pewna, czy potrafi teraz odejść. Z trudem powiedziała: „Do widzenia” i wyszła za bramę. Kiedy zamykała za sobą ciężkie drzwi, starała się nie myśleć o dziecku, które tam zostawiła.

Rozdział 6

Dźwięk rogu rozbrzmiewał czysto i wyraźnie tego popołudnia. W ślad za nim popłynęły pierwsze tony „Cięło Andaluz”, jednego z najbardziej znanych *pasosodoble*. Matadorzy wystąpili na arenę.

Annmarie usiłowała przyglądać się wszystkiemu, bardzo chciała nauczyć się i zrozumieć. Obserwowała uważnie twarze ludzi siedzących dookoła; były równie podekscytowane, jak widzów na igrzyskach olimpijskich albo na mistrzostwach świata. Dostrzegła bogactwo i przepych fiesty i starała się odczuwać emocje w podobny sposób, jak to robili wszyscy zebrani na stadionie. Ale wszystko, do czego była teraz zdolna, to odczuwanie strachu.

Pierwszy byk, mniejszy z tych dwóch, które Diego wylosował, właśnie wbiegał na arenę. Jeden z pomocników zamachał swoją peleryną. Byk natychmiast zaatakował. Mężczyzna wskoczył za drewnianą barierę, w którą byk uderzył całym impetem, rozrywając na kawałki deski ogrodzenia ostrymi jak brzytwa rogami.

Wtedy na arenie pojawił się Diego. Zawołał byka i wykonał kilka pierwszych, niebezpiecznych uników, które miały zaświadczyć o sprawności byka. Annmarie zamierała z przerażenia obserwując, jak ostre rogi mijają o włos piękne ciało Diego, ubranego w odświętne, zielonożółte *traje de luces*.

Kiedy nadszedł czas, by do akcji wkroczyli *banderillas*, tłum powstał z miejsc i domagał się głośno, by Diego własnoręcznie umieścił kolorowe piki w karku byka. Diego ujął je pewnie, uniósł ponad głowę i rozpoczął zygzakowaty bieg. Byk zaatakował błyskawicznie, a Diego ruchem zbyt szybkim, by go zauważyć, umieścił wszystkie piki w umięśnionym karku zwierzęcia. Powtarzał ten manewr jeszcze trzykrotnie, z tym, że za trzecim razem złamał piki tak, że nie były dłuższe niż trzydzieści centymetrów. Znowu uniósł je nad głowę i ruszył biegiem wprost na byka. W ostatniej chwili raptownie skręcił. Byk pochylił łeb i skierował rogi wprost w nie osłonięte niczym ciało Diego, ten zaś zatrzymał się raptownie, wykonał pełen gracji półobrót, umieścił piki szybkim, pewnym ruchem w odsłoniętym karku zwierzęcia i natychmiast się oddalił.

Annmarie nie przypuszczała, że będzie potrafiła znieść to wszystko, że wytrzyma do końca widowiska. Kiedy nadszedł czas na ostatni akt spektaklu, zacisnęła mocno dłonie na kolanach. Musiała patrzeć, kiedy walczył Diego. To

było jego życie, jego zawód i nie miało się to zmienić w najbliższym czasie. Jeżeli go kochała, powinna nauczyć się żyć dzień w dzień z tym strachem.

Mały pomocnik podszedł do Diego, wręczył mu szpadę i małą, czerwoną muletę. Diego zbliżył się do trybuny honorowej, zdjął kapelusz i poprosił o pozwolenie na zabicie byka. Rozpoczęła się *faena*.

Annmarie z zapartym tchem podziwiała kunszt, elegancję, płynność ruchów Diego. Ten znów przyzywał byka. Od czasu do czasu robił uniki tak niebezpiecznie blisko, że krew ociekająca po pikach, które tkwiły w karku byka, zostawiała szkarłatne smugi na stroju Diego. Mała muleta wirowała z gracją, gdy byk przebiegał pod nią.

Nie odwróciła wzroku, kiedy nadszedł czas zabijania. Diego opuścił niżej muletę. W ślad za nią ku ziemi zbliżył się pysk zwierzęcia. Diego, z uniesioną szpadą, pochylił się ponad rogami... błysk stali... zwierzę drgnęło, znieruchomiało, a w chwilę później padło bez życia. Widzów ogarnął szal owacji.

– *Ole! Ole matador! Ole!* – dobiegało zewsząd.

– To fantastyczne! – Vince zerwał się na równe nogi. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego! On jest wspaniały, prawda?! Absolutnie wspaniały!!

– Dobrze się czujesz, Annmarie? – spytała siedząca obok Rose.

– Tak, wszystko w porządku.

Diego podszedł do miejsca, w którym siedzieli. Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się. Uśmiechała się bez przerwy przez całe to długie popołudnie.

Drugi byk Diego był o wiele trudniejszy do pokonania. Nie poruszał się tak płynnie jak poprzedni. Raz po raz zatrzymywał się nagle w miejscu, choć sprawiał wrażenie rozpedzonego, i złowrogo rzucał łbem, szukając celu dla swych rogów.

Po plecach Annmarie zaczął płynąć pot, żołądek skurczył się ze zdenerwowania. Ale wciąż nie odwracała wzroku, nawet wtedy, gdy przy każdym kolejnym uniku Diego pozwalał bykowi coraz bardziej zmniejszać dystans.

Wreszcie wszystko się skończyło. Stała razem z innymi widzami, kiedy Diego przyjmował należne mu owacje, paradując dookoła areny. Pod stopy rzucano mu kwiaty, słomkowe kapelusze i *botas*, skórzane pojemniki z winem. Diego podnosił każdy z nich, otwierał i pił z odchyłoną głową tak długo, aż rozlegał się akceptujący pomruk widzów. Jakaś kobieta rzuciła na arenę czerwony but na wysokim obcasie. Jeden z pomocników podał go Diego. Ten

uniósł pantofel do ust, zanim odrzucił go z powrotem.

Kiedy skończy! swoją rundę honorową, stanął na środku areny, trzymając w ręku tuzin czerwonych goździków, skrzyżował ramiona na piersi i głęboko pokłonił się publiczności. Potem ruszył do wyjścia. Zanim przeszedł za barierę, rzucił ostatnie spojrzenie w stronę Annmarie, jakby chciał się upewnić, że jeszcze tam jest, ale zaraz potem patrzył już na arenę, gdzie pojawił się byk kolejnego matadora.

Wreszcie i ta walka się skończyła i Annmarie wyszła w towarzystwie Rose i Vince'a.

– Kolacji chyba nie zaczniemy jeść przed ósmą – powiedziała Rose. – Wyglądasz na zmęczoną, może odpoczęłabyś trochę do tej pory?

– Chyba tak zrobię – odparła Annmarie. Całe ciało miała obolałe z napięcia.

– To było wspaniałe popołudnie – stwierdził Vince. – Zaskoczyłaś mnie. Po pierwszej corridzie byłem przekonany, że więcej nie przyjdiesz. To dobrze, że zaczynasz to lubić, zwłaszcza teraz, kiedy zaczynacie tworzyć z Diego parę. – Dochodzili już do hotelu. – Co powiesz na małego drinka?

– Nie, dziękuję, ale naprawdę jestem zmęczona. Zobaczymy się około siódmej trzydzieści, zgoda?

– Jasne. Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

Sama nie była tego pewna, kiedy weszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Czuła, że jest nieprzytomna, niezdolna do myślenia i działania. Rozebrała się i wzięła szybko prysznic. Potem położyła się do łóżka i wpatrywała w pęknięcia i szczeliny na suficie. Jak blizny... . Jak blizny na ciele Diego. Dopiero teraz uświadomiła sobie wyraźnie, że jego ciało pokryte było bliznami. Przypomniała sobie tę paskudną bliznę na jego brzuchu, od góry do dołu... I tę krótką, pięciocentymetrową, głęboką bliznę na udzie. A jeszcze ta ostatnia, sprzed kilku dni... Ile ich jest na całym ciele? Ile przybędzie, zanim zakończy występy? Przymknęła oczy, jednak nie potrafiła zrozumieć, dlaczego człowiek dobrowolnie staje przed ostrymi rogami rozjuszonego byka i ryzykuje własnym życiem. Nie potrafiła pojąć, jak może żyć kobieta, która kocha takiego człowieka, skoro za każdym razem, kiedy on występuje na arenie, ona umiera ze strachu...

Kobieta, która kocha mężczyznę... Gorące łzy napłynęły jej do oczu. Nigdy nie będzie w stanie zrozumieć jego zajęcia. Nigdy nie zdoła pojąć jego ojczyzny. Łzy płynęły jej po policzkach. Zadrżała z zimna. Czuła się pusta, pozbawiona wszelkich uczuć. Podjęła decyzję.

Całą czwórką pojechali do restauracji za miastem. Była malowniczo usytuowana na górskim zboczu, pośród wysokich sosen. Annmarie założyła prostą, ale bardzo elegancką czarną, jedwabną sukienkę, na szyi powiesiła sznur pereł. Całości dopełniały czarne, elastyczne pończochy i buty na wysokim obcasie. Włosy upięła w kok z tyłu głowy. Wyglądała ślicznie, ale jakoś dziwnie, pomyślał Diego, kiedy zsuwał jej z ramion swoją jaskrawo-pomarańczoną pelerynę.

Sam też czuł się nieswojo, chociaż zupełnie nie wiedział, co było tego powodem. Przecież cieszył się, kiedy spostrzegł ją na trybunach. I wydawało mu się, że zniosła corridę o wiele lepiej niż za pierwszym razem. Ilekroć spoglądał w jej stronę, tylekroć uśmiechała się do niego.

Przed kolacją wypili kilka drinków przy dźwiękach skocznych melodii, które wygrywała miejscowa kapela. Rose i Vince byli roześmiani i gadatliwi. Annmarie słuchała ich z uprzejmą uwagą, ale sama rzadko się odzywała.

Diego zamówił wino do kolacji i rozpromienił się, kiedy Vince chwalił jego osiągnięcia na arenie.

– To dzięki temu, że mieliśmy doskonałe byki – starał się zachować pozory skromności.

Po chwili obaj zagłębili się w rozmowie na temat corridy, zaczęli wspominać dawnych sławnych matadorów, takich, jak Aruzza, Cordobez czy Luis Miguel Dominguin. Diego był tak zaabsorbowany dyskusją, że zauważył towarzyszącą mu Annmarie dopiero, kiedy kolacja była już prawie skończona. Annmarie siedziała sztywno, taki sam uśmiech, jak na stadionie. Bawiła się bezmyślnie kieliszkiem.

Kiedy wreszcie rozmowa została skierowana na inne niż corrida tematy, odezwała się Rose.

– Annmarie już się wciągnęła w pracę w sierocińcu. Wczoraj nawet zabrała jedno z dzieci na obiad do restauracji.

– Nic mi o tym nie wspomniałaś. – Diego nie ukrywał zaskoczenia.

Annmarie wzruszyła niedbale ramionami.

– Byłeś bardzo zajęty. Poza tym nie sądziłam, że coś takiego może cię zainteresować.

– Ależ oczywiście, że mnie interesuje – odparł Diego i ujął jej dłoń.

– Maja wciąż opowiada o tym ciastku, które jadłyście na deser. A siostra Dolores powiedziała, że masz zamiar zorganizować przyjęcie dla dzieci w

niedzielę po południu. I podobno mają być lody...

– Zgadza się. – Annmarie upiła mały łyk wina. – W niedzielę jest ostatni dzień fiesty. Wszyscy będą świętować, więc pomyślałam, że te dzieci też powinny.

– W niedzielę odbywa się ostatnia corrida. Chciałem, żebyśmy wybrali się tam razem – powiedział Diego chłodnym tonem.

– Lody zamówiłam na drugą trzydzieści. Po godzinie powinno już być po wszystkim, więc możesz po mnie – przyjechać do sierocińca albo spotkamy się na stadionie... Jak wolisz... – Podniosła pusty kieliszek i z wyrzutem spojrzała na pustą butelkę. Zmarszczyła brwi w grymasie niezadowolenia.

– Zdaje się, że będziemy musieli jeszcze poprosić o wino – powiedział Vince, ale zanim zdążył dać znak kelnerowi, Diego przecząco pokręcił głową. Wziął pelerynę, którą wcześniej okryta była Annmarie i powiedział wstając:

– Jesteś już zmęczona.

– Tak – odparła i pochyliła głowę. Wyglądało to tak, jakby skończyły się jej zapasy energii. Zniknął nawet uśmiech, który przez całe popołudnie gościł na jej twarzy.

Kiedy wyszli z restauracji, Rose i Vince usiedli z przodu, a Diego i Annmarie z tyłu. Powietrze było już dość chłodne, Annmarie opuściła szybę, wystawiając twarz na orzeźwiające podmuchy wiatru. Diego objął ją i po chwili wtulił się w jego ramię. Czowała się bardziej zmęczona niż kiedykolwiek dotąd w swoim życiu.

Już prawie spała, kiedy samochód zjechał z gór i zaczął podskakiwać na nierównym bruku uliczek Santa Catariny. Wyglądała przez okno i powoli zaczynała rozpoznawać poszczególne fragmenty miasta. Usłyszała dźwięki gitar i śpiew, który dobiegał z małej kafejki.

– Fiesta! – odezwał się nagle Vince – Jeść, pić i bawić się szaleńczo... Wszystko się skończy w niedzielę. – Spojrzał przez ramię na Diego. – A ty walczysz jeszcze w sobotę, tak?

– Zgadza się, w sobotę.

Annmarie odwróciła się od okna i przymknęła oczy.

Kiedy rozstali się z Rose i Vince'em, Diego zaprowadził ją do pokoju i rozebrał. Była zbyt śpiąca, by stawiać jakikolwiek opór.

– Wypiłam za dużo tego wina – stwierdziła.

– Tak – odparł, pocałował ją w czoło i pomógł jej położyć się do łóżka.

– Widzisz, to się musi skończyć... – zaczęła.

– Spij już – odparł i położył się koło niej. Jej oddech szybko stał się miarowy. Usnęła. Ale Diego jeszcze długo leżał z otwartymi oczami.

Jakiś czas później, kiedy pierwsze promienie porannego słońca nieśmiało przebijały się przez szarość świtu, Diego poczuł, że ciepłe wargi łaskoczą jego usta. Otworzył oczy i zobaczył twarz Annmarie pochyloną nad nim. Miała lekko rozchylone usta, oczy jeszcze nosiły ślady snu. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, znów żarliwie go pocałowała, jedną ręką objęła go, przyciągając do siebie z całej siły.

Jak ćma, która krąży zbyt blisko płomienia świecy i osmala sobie skrzydła, tak Diego nie mógł nic poradzić na żar jej ciała. On też poczuł w sobie ogień. Pochwyił ją w ramiona i zaczął szeptać jej imię. Przyglądał się jej twarzy, kiedy jednoczyli się w ekstazie. Jasne włosy w nieładzie opadały Annmarie na ramiona, oczy miała przymknięte, a oddech nierówny z pożądania. Błądziła palcami pośród ciemnych włosów Diego, chcąc przyciągnąć jego twarz do swojej, chciała go całować, całe jej ciało drżało z pragnienia.

Poruszała się gwałtownie, zapamiętała. On starał się zwolnić, przedłużyć chwilę rozkoszy, ale nie pozwalała mu na to. Nie zdawał sobie sprawy, że może być aż taka namiętna, taka przepelniona pożądaniem. Patrzył na nią, chciał powiedzieć, jaka jest cudowna, i właśnie wtedy zauważył łzy płynące jej po policzkach.

– *Querida?* – szepnął – *Querida*, co się stało?

Ale Annmarie nie odpowiedziała. Zmuszała go do kolejnych wysiłków, tak długo, aż jego ciało eksplodowało szczytowym uniesieniem. Zaczął ją całować. Spijał słone łzy z policzków i oddawał jej ustom. Usiłował spytać ją o powód tego płaczu, ale nie była w stanie odpowiadać na żadne pytania. Szlochała tylko, wtulona w jego ramię, aż wreszcie, zmęczona, zasnęła...

Rozdział 7

Kiedy obudziła się około siódmej trzydzieści, Diego już obok niej nie było. Przeciągnęła się, ziewnęła i raptownie złapała się za głowę. Nigdy dotąd nie przeżywała kaca, a jeśli to było właśnie to, co teraz czuła, nie chciała więcej podobnych doświadczeń. Przecież nie zamierzała wypić tyle wina, nawet nie lubiła tego trunku, ale dziwnym trafem w taki sposób odreagowywała wieczorem napięcie, które jej towarzyszyło przez cały dzień. Alkohol stępił nieco wyraźny obraz walki Diego, przytłumił ból świadomości, że już wkrótce go opuści...

Nie rozumiała, jak inne kobiety – matki, żony, kochanki – potrafią znosić ten okropny lęk, kiedy ich mężczyźni narażają życie w walce z rozjuszonym bykiem.

Miłość? Teraz mogła się już do tego przyznać – tak, rzeczywiście zakochała się w nim, ale za bardzo się różnili pod każdym względem.

Małżeństwo? Już samo w sobie jest rzeczą trudną, a w ich przypadku w ogóle nierealną.

Annmarie usiadła na łóżku i objęła kolana. Fiesta skończy się w niedzielę. Postanowiła, że zostanie do tego czasu, częściowo dlatego, że obiecała dzieciom przyjęcie, a poza tym nie była jeszcze gotowa, żeby wyjechać natychmiast. Ale w poniedziałek, a najdalej we wtorek opuści Santa Catarinę... i Diego.

Poprosił ją, żeby pomieszkała z nim kilka dni na ranczo. Oczami wyobraźni dostrzegła samą siebie w jego pokoju.

Wyobraziła sobie te leniwe poranki, śniadanie w słonecznym patio, miłość w nocy...

Myślała też o Hiszpanii, o zamkach na wzgórzach, romantycznej postaci Don Kichota, białych domach krytych czerwoną dachówką, pięknych kobietach w kolorowych strojach, tańczących flamenco. Myślała o tym, jak by to mogło być, gdyby pojechała tam razem z Diego.

Wciąż pogrążona w nierealnych marzeniach umyła się i ubrała. Zeszła do jadalni, ze strachem, lecz jednocześnie z nadzieją, że zastanie tam Diego. Ale nie było go tam. Zobaczyła tylko rodzinę z Chicago, która dopytywała się, co można ciekawego robić albo obejrzeć „w takiej dziurze”.

Annmarie poleciła im kilka miejsc, a potem usiadła przy stoliku pod oknem. Zamówiła sok pomarańczowy i kawę. Po drugiej kawie zaczęła się czuć prawie jak człowiek. Kiedy jedna z Amerykanek spytała ją o fiestę, odpowiedziała

beznamiętnym tonem:

– Kończy się w niedzielę. Może jeszcze zdąży pani obejrzeć walki z bykami. Została jeszcze jedna albo dwie.

– Walki z bykami?! – wykrzyknęła turystka z ufarbowanymi na niebiesko włosami. – Chyba kibicowałabym bykowi!

Annmarie dopiła kawę w milczeniu.

Kiedy wyszła z hotelu, w miasteczku panował już normalny ruch. Po brukowanych uliczkach turkotały ciężarówki z żywnością. Wszędzie biegały rozkrzyczane dzieci, płakały niemowlęta w oczekiwaniu na poranną porcję mleka. Minęła stojącą w bramie parę starszych ludzi, którzy spokojnie jedli śniadanie.

O ósmej trzydzieści przez rynek przemaszerowały dzieci z miejscowej szkoły, dumne ze swoich niebieskobiałych mundurków. Małe dziewczynki szły w zwartym szyku, a chłopcy biegali dookoła nich i usiłovali je zaczepiać. Na początku wystarczyły tylko groźne miny dziewcząt, żeby ostudzić zapały rówieśników, ale kiedy zrobili się bardziej natarczywi, musiała interweniować opiekująca się dziećmi zakonnica.

Indiańscy tancerze w tradycyjnych strojach występowali przed kościołem, kiedy Annmarie szła tamtędy przez plac w stronę sierocińca. I znowu pomyślała sobie, jakie to wszystko jest inne, jakie dziwne, jakie obce...

Rose była już na miejscu, kiedy Annmarie tam dotarła.

– Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Jak się czujesz?

– Tak, jakby wszyscy właściciele werbli ćwiczyli na mojej głowie przez ostatnie pół roku... Nigdy tyle nie piję – dodała i dotknęła czoła, jakby chciała sprawdzić, czy ból jeszcze nie rozsadził jej czaszki.

– Też cię o to nie podejrzewałam. To przez Diego, tak? Przyglądałam ci się wczoraj, jak obserwowałaś jego walkę. Miałaś przylepiony do ust sztuczny uśmiech i jestem pewna, że szczerze nienawidziłaś każdej spędzonej tam minuty.

– Tak – westchnęła Annmarie – to prawda.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale czy ty się zakochałaś w tym matadorze?

– Tak, Rose, a dużo bym dała, żeby tak nie było.

– Z powodu jego zajęcia?

– Tak, nienawidzę corridy. – Zastanowiła się przez chwilę i dodała: – Poza tym jest coś jeszcze, Rose. Mówiłam ci, że kiedyś zaproponował mi, żebym pojechała z nim do Hiszpanii, a ja nie jestem przygotowana na tego typu związki...

– Skoro go kochasz...

– To nie zmienia faktu, że przerażają mnie wszelkie formy stałych związków, z małżeństwem na czele. – Ode– tchnęła głęboko. – Moi rodzice właśnie się rozwodzą. Stanowili małżeństwo przez dwadzieścia pięć lat, a wszystkie te lata były piekłem dla obojga. A ja w tym wyrosłam. I nie chcę, żeby mnie coś podobnego spotkało w życiu...

– Ale przecież ty i Diego to nie to samo, co twoi rodzice. Fakt, że ich małżeństwo było nieudane, nie oznacza wcale, że coś podobnego musi się zdarzyć tobie i Diego.

– Doprawdy? Moi rodzice mieli wszelkie atuty, żeby stworzyć udane małżeństwo. Wyrśli oboje w tym samym mieście, chodzili razem do tych samych szkół. Wszystko zdawało się przemawiać na ich korzyść: podobne środowisko, wychowanie, ta sama religia... Ich małżeństwo powinno być udane, a nie było. Jak więc mogę myśleć o tym, że moje i Diego, jeżeli kiedykolwiek do czegoś takiego by doszło, miałyby szanse powodzenia? Mamy zupełnie inne doświadczenia, zainteresowania, właściwie ledwo się dogadujemy...

– Ale jeżeli się kochacie... Wiesz, może problemem twoich rodziców był brak uczucia. Nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt wzniosłe, ale ja naprawdę myślę, że dla prawdziwej miłości nie ma żadnych przeszkód ani barier... Gdybym była na twoim miejscu, dałabym waszej miłości przynajmniej jedną szansę. Pojechałabym z Diego do Hiszpanii i dopiero potem wyciągałabym wszelkie wnioski.

– Ale ja mam swoją pracę, swoje mieszkanie... nie mogę tego tak po prostu rzucić i jechać do Hiszpanii z człowiekiem, którego dopiero co poznałam...

– Nie możesz? – Rose wzruszyła ramionami i odwróciła się. Po chwili jednak zagadnęła znowu.

– Wiesz, żeby kochać, potrzeba dużo odwagi... a żeby kochać kogoś takiego jak Diego, trzeba mieć podwójną dawkę odwagi. Ale prawdziwa miłość przychodzi tylko raz – na jakiś czas, kto wie, może nawet tylko raz w życiu... To chyba żal wyrzucić coś takiego na śmietnik... Annmarie nie odpowiadała. Rose mówiła dalej.

– Ale nikt nie może ci mówić, co masz zrobić w tej sytuacji. Decyzję powinnaś podjąć ty i Diego. On jest dobrym człowiekiem, Annmarie. To będzie duża strata, jeśli odejdziesz od niego...

Więcej nie wracały do tej rozmowy. Rose wyszła zaraz po obiedzie, a Annmarie została do późnego popołudnia. Pomagała w kuchni, wykąpała nowe

dziecko, które przywieziono do sierocińca kilka dni temu. Bawiła się z dziećmi i starała nie myśleć o niczym innym, tylko o aktualnym zajęciu.

Kiedy wychodziła z sierocińca, aa dworze było już bardzo chłodno. Postawiła kołnierz swetra i włożyła ręce w kieszenie. Zamiast wracać od razu do hotelu, poszła na rynek i usiadła na jednej ze stalowych ławek, stojących na wprost starego, zbudowanego z kamienia kościoła. Długo tak siedziała pogrążona we własnych myślach. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero gwar orszaku weselnego, wychodzącego z kościoła. Oblubienica była bardzo młoda, długie włosy miała częściowo ukryte pod białym welonem. Śmiała się, kiedy trzymając pod rękę swego oblubieńca zbiegała po schodach w deszczu kwiatów i ryżu do stojącego nieopodal samochodu.

Zewsząd wykrzykiwano życzenia wszelkiej pomyślności, trzaskały flesze aparatów fotograficznych. Po chwili młoda para wsiadła do samochodu, dziewczyna wyrzuciła przez okno wiązankę ślubną, a jej koleżanki rzuciły się, by ją podnieść. Pośród śmiechów, pocałunków państwo młodzi odjechali w nieznane.

Dzwony na wieży kościelnej zaczęły wybijać kolejną godzinę. Nagle powiał silny wiatr i rozwał resztki zapomnianych kwiatów i ozdób weselnych po zimnym bruku placu.

Diego słyszał dzwony i zdawało mu się, że jakoś smutno tego wieczoru brzmi ich melodia. Ale wiedział, że ten smutek tkwi w nim samym. Rozmyślał o ostatniej nocy, o tym, jak Annmarie obudziła go pocałunkami, jak się kochali i o tym, jak się rozplakała niespodziewanie w samym środku uniesienia.

Nagle Diego poczuł chłód, bo zrozumiał, że ona ma zamiar odejść od niego. Tak bardzo chciał jej wyjaśnić, co czuje do swego zajęcia. Powiedział jej kiedyś, że rozumiałaby to, gdyby była Meksykanką. To była oczywiście nieprawda. Jego matka, rodowita Meksykanką, nigdy nie potrafiła zrozumieć corridy. Zabraniała mu, kiedy oznajmił jej, że ma zamiar zostać matadorem, a potem długo płakała. Nie wiedział, czy nadal jeszcze płacze z tego powodu, ale podejrzewał, że tak.

Podniósł kołnierz kurtki. Bolała go noga, ale nie chciał myśleć ani o tym, ani o bykach.

Przed chwilą Manolo, jego menedżer, radził mu, żeby odwołali sobotnią walkę. Bo Diego źle wygląda... bo wszyscy rozumieją, że to z powodu nogi... bo Romera i Gutierrez też dadzą sobie radę...

– Nie – odparł Diego. – Wszystko będzie dobrze, załatwię tego byka. Jak ta walka się skończy, odpocznę trochę. Nie będę więcej walczył, dopiero w Hiszpanii.

Hiszpania. Zaproponował Annmarie, żeby tam z nim pojechała, bo wydawało mu się, że nie zniesie jej braku, potem zorientował się, jak bardzo ją kocha, a teraz wiedział, że... tak! Wielkie nieba! Chciałby się z nią ożenić! Ta myśl przerażała go, ale jeszcze bardziej przerażała go myśl, że mógłby ją utracić. Poprosi ją o rękę po sobotniej corridzie. Wiedział, jak wiele miała wątpliwości co do ich związku, ale jakoś ją przekona... Nie potrafił już wyobrazić sobie życia bez niej...

Zatrzymał się przy fontannie na placu, żeby sobie rozmasować nogę, a kiedy się prostował, zauważył Annmarie siedzącą na jednej z ławek. Wyglądała tak samo, jak tamtej nocy, kiedy spotkał ją po raz pierwszy. Miała na sobie ten sam sweter, jej jasne włosy rozwiewał wiatr...

Wyglądała na bardzo samotną. Sama na pustym placu i te wirujące wokół jej stóp kawałki kolorowego papieru...

Podszedł do niej i po chwili wahania odezwał się:

– Zastanawiałem się właśnie, gdzie się podziewasz.

– Odwiedziłam sierociniec. – Spojrzała na niego. – A przed chwilą był tu cały orszak weselny.

Usiadł koło niej.

– Chyba zmarzłaś...

– Tak.

– W Hiszpanii jest cieplej...

– Na Florydzie też...

Wziął jej dłoń i zaczął niepewnie:

– Annomario... ja...

– Nie. Nic nie mów.

– Ale musimy porozmawiać.

– Nie teraz.

– No to w sobotę, po corridzie?

– Dobrze. – Spojrzała na niego. – Dopóki Vince przypadkiem o tym nie wspomniał, nic nie wiedziałam, że walczysz w sobotę. Nie powinienes. Twoja noga jeszcze się nie zagoiła. Prawdopodobnie wczoraj też nie powinienes być walczyć.

– Nic mi nie będzie. To ostatnia walka. Potem będę odpoczywał, aż... aż

pojadę do Hiszpanii. – Niewiele brakowało, a powiedziałaby „pojedziemy”. Nie patrzył na nią.

– Wpatrywał się w osiemnastowieczny kościół, na oko gotycki, ale nie pozbawiony jakiegoś ulotnego charakteru budowli indiańskich. To był piękny kościół. Wprost stworzony do ślubów...

W tym momencie chciał jej wyznać miłość i prośbę, żeby zgodziła się wyjść za niego. Ale nie zrobił tego. Siedział tylko koło niej, trzymając ją za rękę, zasłuchany w śpiew ptaków w koronach drzew. Dzwony w kościele zaczęły głośno obwieszczać nadejście pory wieczornej mszy.

Rozdział 8

Kobieta śpiewała niskim, gardłowym głosem. Śpiewała o miłości. O tej starej i nowej, i o tej utraconej. Jej głos współbrzmiał z jęklivymi dźwiękami gitary. Światło było przyćmione, ogień na kominku sprawiał, że sylwetki tańczących spowijały fantazyjne cienie.

Diego łagodnie przyciskał dłoń do pleców Annmarie... Przymknęła oczy... Dała się ponieść chwili, pozwoliła, by jej ciało swobodnie płynęło wśród dźwięków gitar. Nie rozumiała słów, tylko napięcie, z jakim śpiewała kobieta, napięcie tak naelektryzowane uczuciem, że łzy popłynęły jej z oczu.

Tańczyli, jakby byli jednym ciałem, całkowicie zatraceni w muzyce i w sobie nawzajem. Dla nich nie istniały żadne wyszukane figury taneczne, żadne obroty, przejścia, uniki... Byli tylko dwojgiem ludzi, którzy pozwolili się nieść muzyce, czując i reagując na zawodzące dźwięki gitary...

Kiedy skończyła się ostatnia piosenka, wciąż stali przytuleni. Annmarie powoli, jakby się budziła ze snu, otworzyła oczy i spojrzała na Diego. Jego twarz, oświetlona migotliwym blaskiem płomienia, nie była podobna do żadnej innej twarzy na świecie. Dzięki tym oczom i wystającym kościom policzkowym był podobny zarówno do azteckiego wojownika, jak i do hiszpańskiego księcia...

– Kocham twoją twarz... – wyszeptła.

– A ja ciebie kocham – odparł i pocałował delikatnie jej palce.

– Wrócili do swojego stolika w kącie sali, gdzie kelner przyniósł im dwa steki i butelkę czerwonego wina.

– Ze smutkiem będę stąd wyjeżdżał – powiedział Diego i rozejrzał się dookoła. – Restauracje w Hiszpanii są pewnie najlepsze na świecie, ale będzie mi brakowało tego uroku, nastroju... A ty byłaś kiedyś w Europie?

– Pod koniec studiów wyjechałam na dwa tygodnie do Anglii, żeby poznać trochę więcej literatury angielskiej.

– Podobało ci się?

– Tak, ale niezbyt fortunnie wybrałam na ten wyjazd koniec grudnia i strasznie marzłam.

– W Hiszpanii nie byłoby ci zimno. Słońce świeci tam codziennie, zwłaszcza na Costa del Sol, na południowym wybrzeżu. Moglibyśmy kąpać się całymi dniami w morzu, a potem wylegiwać na piasku, tak długo, aż słońce rozgrzałoby nasze kości. A potem w pokoju mógłbym cię całować od czubka

głowy aż po kciuki...

– Chyba palce u nóg?

– Palce u nóg? A, tak, oczywiście. Zapomniałem, że po angielsku inaczej się to mówi... – Wziął ją za rękę. – Annomario, pojedź ze mną do Hiszpanii.

– Nie wiem... nie wiem, czy mogę.

– Nie musiałybyś wcale chodzić na corridy. Zrozumiałbym to. Gdybym tylko wiedział, że czekasz na mnie...

– Diego...

– Nie, nie mów nic. Jeszcze nie. Mój brat dzwonił dziś z Guadalajary. Przyjedzie mnie odwiedzić i przywiezie mamę ze sobą.

– To miłe. A jak długo ona tu zostanie?

– Tylko kilka dni, jak przypuszczam. Chce się ze mną zobaczyć, zanim wyjadę do Hiszpanii. Chciałbym, żebyś ją poznała, skoro tu będzie. Jestem pewien, że polubiłybyście się.

– A ona mówi po angielsku?

– Tak, trochę.

– A kiedy przyjedzie?

– Nie wiem, może jutro. Poprosiłem Juanitę, żeby przygotowała uroczystą kolację na sobotni wieczór. Musisz przyjść, no i Rose z Vince'em. Urządzimy sobie taką małą fiestę. Mojej mamie to się spodoba. Uwielbia przyjęcia.

– A przyjdzie na sobotnią corridę?

– Oczywiście, że nie. Spojrzała na niego pytająco.

– Moja matka nigdy nie widziała mnie w czasie walki.

– Rozumiem. – Zawahała się, ale nie mogła powstrzymać się, żeby nie dodać: – Myślałam, że tylko takie *gringas* jak ja nie lubią walki z bykami.

– To nie chodzi o to, że moja matka w ogóle nie lubi fiesty. Ona po prostu nie chce patrzeć, kiedy ja walczę. W sobotę o czwartej zasiądzie w kuchni razem z Juanitą i zajmą się przygotowywaniem dla nas kolacji. I będzie udawała, że to taki sam dzień, jak każdy inny.

– Bardzo musi cierpieć, kiedy ty walczysz.

Drgnęły mu mięśnie na twarzy.

– Tak, pewnie cierpi, ale ponieważ mnie kocha, to nigdy nie próbowała mnie zmienić.

– Musi to być wyjątkowa kobieta.

– Chyba masz rację.

Skończyli kolację w milczeniu. Udawali oboje, że słuchają muzyki, ale unikali swojego wzroku. Zatańczyli jeszcze raz, zanim wyszli, ale to już nie było to samo, co za pierwszym razem. Tańczyli jakoś sztywno, jak zupełnie obcy ludzie, a kiedy tylko muzyka przestała grać, od razu odstąpili od siebie.

Bez słowa, niby razem, a jednak osobno, szli pustymi ulicami do hotelu. Kiedy znaleźli się przed drzwiami jej pokoju, powiedziała:

– Jestem taka... zmęczona, Diego...

– Jasne – odpowiedział lodowatym tonem, wyjął jej klucz z ręki, otworzył drzwi, pocałował ją w czoło i powiedziawszy zdawkowe „dobranoc” mszy! w stronę swojego pokoju na końcu korytarza. Annmarie weszła do pokoju, zamknęła za sobą starannie drzwi i oparła się o nie. Stała tak przez chwilę. Czuła się zupełnie pusta w środku, całkowicie pozbawiona jakichkolwiek uczuć z wyjątkiem osamotnienia, bardziej dojmującego niż kiedykolwiek w życiu.

Diego widziała tylko przełomie przez kilka następnych dni. Wyprowadził się z hotelu i zamieszkał na swoim ranczo, żeby być na miejscu, kiedy przyjedzie matka.

Pewnego dnia spotkali się przypadkowo w jadalni i spytał ją, czy miałaby ochotę wybrać się z nim na przejażdżkę, na jego ranczo. Odpowiedziała, że nie może, bo obiecała popracować w sierocińcu.

W sobotę rano przyjechał do hotelu, żeby się przebrać przed corridą. Wcześniej wstąpił do zagrody, gdzie trzymano byki na dzisiejszą walkę. Oparł się na balustradzie i przyglądał swoim przeciwnikom. Pierwszy z nich nie budził w nim zachwytu. Jego rogi, nie dość, że olbrzymie, miały dodatkowo nietypowy kształt, a sam byk sprawiał wrażenie narowistego. Drugi był znacznie większy, ważył dużo ponad dwieście pięćdziesiąt kilo, miał szeroko rozstawione rogi, mocny kark, mnóstwo mięśni. Wyglądał na dzielnego. Diego czuł narastające w nim emocje.

Kiedy przejeżdżał obok kościoła, zobaczył, że ludzie wychodzą z porannej mszy. Odczekał chwilę i wszedł sam do opustoszałego sanktuarium. W środku było jeszcze kilka osób, głównie kobiety w chustkach na głowach, monotonicznie przesuwające paciorki różańców. Pomyślał o swojej matce. Wiedział, że poszła na poranną mszę do małego kościółka niedaleko rancza, by modlić się o jego bezpieczny powrót do domu.

Umoczył końce palców w święconej wodzie i przeżegnał się. Wpatrywał się w migotliwy blask świec i starał nie słyszeć wycia wiatru na zewnątrz. Wiatr jest

wrogiem matadora, w najmniej odpowiednim momencie potrafi poruszyć muleta, dekoncentruje byka, utrudnia walkę... Starał się odpędzić złe myśli.

Annamaria zgodziła się zjeść z nim śniadanie. Walki zaczynają się około czwartej, później już nic nie będzie mógł zjeść. Kiedy dotarł do La Quinty, akurat siedziała na zalanym słońcem korytarzu i rzucała jakieś skrawki jedzenia małej, czarnej kóźce, która nie wiadomo skąd przybłąkała się do ogrodu. Kiedy go zauważyła, ruszyła na spotkanie.

– Dzień dobry. Czy twoja mama już przyjechała?

– Wczoraj wieczorem. – Chciał ją pocałować, ale nie wiedział, czy ona też tego chce, więc tylko położył jej dłoń na ramieniu i powiedział: – Ślicznie dziś wyglądasz. Jesteś głodna?

– Po prostu umieram z głodu – odparła wesoło.

Usiedli przy stoliku pod oknem. Kiedy zamówili śniadanie, pierwszy odezwał się Diego:

– Stęskniłem się za tobą.

– Ja też, ale wiem, że masz teraz mnóstwo spraw na głowie. Pewnie cieszysz się, że przyjechała mama...

– Tak... i już jej o tobie opowiedziałem.

– I?

– Nie może doczekać się, kiedy cię pozna... Przyjdiesz dziś na corridę?

– Nie... obiecałam, że zostanę wieczorem z dziećmi...

– Rozumiem.

– Mam bardzo dużo spraw do załatwienia przed jutrzejszym przyjęciem... – powiedziała szybko.

– W takim razie zobaczymy się na ranczu wieczorem. Możesz chyba przyjechać razem z Rose i Vince'em?

– O której?

– O siódmej. A co z niedzielną corridą? Planowałem, że pójdziemy tam razem, ale teraz widzę, że chyba wolałabyś nie iść, prawda?

– Nie, dlaczego? Chętnie pójdę razem z tobą...

Diego upił odrobinę swojej kawy.

– Wyjeżdżam do Hiszpanii w przyszły poniedziałek. – Spojrzał na nią. – Musimy porozmawiać, Annomario.

– Tak, wiem. – Z trudem przełykała ślinę.

– W takim razie dziś wieczorem, po kolacji. – Położył jej rękę na dłoni i trzymał tak aż do końca posiłku. Kiedy wyszli z jadalni, powiedział:

– Teraz muszę już iść, mam spotkanie z moim menedżerem. Potem tu wrócę, żeby odpocząć przed corridą, bardzo bym chciał, żebyśmy razem odpoczywali...

Uśmiechnęła się do niego:

– A czy nie ma przypadkiem takiego niepisanego prawa, że matador nie powinien doprowadzać do wyczerpania organizmu przed corridą?

– Kochanie się z tobą nie ma w sobie nic z wyczerpywania organizmu. – Oparł dłonie na jej ramionach. – Boję się, że umrę, jeśli zaraz cię nie pocałuję.

I zrobi! to, na samym środku jasno oświetlonego promieniami słońca korytarza. Ale widziała to tylko mała, czarna kózka...

Potem stali jeszcze przez chwilę, wciąż się obejmując w milczeniu. Annmarie w myśli przebiegała kolejne linijki modlitwy za niego.

Wreszcie Diego ją puścił.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział.

– *Suerte* – wyszeptała w odpowiedzi. – Szczęścia... Trzymał ją jeszcze przez chwilę w ramionach, potem nagle puścił, szybkim krokiem podszedł do samochodu i odjechał. Annmarie szybko wróciła do pokoju po portmonetkę i torbę na zakupy. Starła się być jak najbardziej zajęta, żeby tylko nie myśleć o tym, jak on wyglądał, kiedy się rozstawali.

Po drodze do sierocińca zamówiła lody na przyjęcie dla dzieci. I przykazała, żeby były dostarczone punktualnie o drugiej trzydzieści w niedzielę. Potem poszła do małego supermarketu na ulicy Hidalgo i kupiła dwanaście pudełek kruchych ciasteczek.

W sierocińcu siedziała aż do czwartej trzydzieści. Potem poszła w okolice areny, stała na ulicy przylegającej do trybun i wsłuchiwała się w niesione wiatrem okrzyki radości. Zrobiło się jej chłodno i pomyślała sobie, że taki wiatr nie może sprzyjać matadorowi. W końcu postanowiła wrócić do hotelu.

Patio już z dala jaśniało ciepłym światłem lampionów. Dochodziły z tamtej strony dźwięki muzyki.

– Wygląda na to, że przyjęcie już się zaczęło – powiedział Vince – nie mogę się już doczekać. Jestem przekonany, że Diego też. Po tym, czego dokonał, należy mu się uczciwy odpoczynek. To wstyd, że tam dziś nie byłaś, gdybyś tylko zobaczyła, co zrobił z tym drugim bykiem...

– Trafilo mu się piękne zwierzę – wyjaśniła Rose. – Skończyło się na

indulto, to znaczy bez zabijania byka.

– Byk był wspaniały, Diego też. To była fantastyczna walka, a teraz czekam na fantastyczne przyjęcie... – Spojrzał na obie panie. – Eskortowanie was to strach... Rose, – niebieski to twój kolor. Wyglądasz wspaniale. Ty też, Annmarie. Jesteś ładniejsza dziś niż kiedykolwiek.

To dobrze, że Vince powiedział coś takiego, bo wcale nie była pewna, czy słusznie dobrała strój na dzisiejszą okazję. Kupiła tę sukienkę wczoraj w jakimś małym sklepiku tuż za rynkiem. Uszyto ją z białego, szorstkiego materiału, miała mocno odsłonięte plecy. Była prosta i meksykańska, a Annmarie czuła się w niej doskonale.

Przed patio powitał ich Diego.

– Dziś jest chłodny wieczór, więc postanowiliśmy, że przeniesiemy przyjęcie do środka. Serdecznie zapraszam, chodźcie, chcę was przedstawić mojej mamie i bratu.

Dona Elena Cristina Ortiz była drobną kobietą, jej długie, czarne włosy, lekko tylko przyprószone siwizną, upięte były z tyłu za pomocą dużego, hiszpańskiego grzebienia. Miała na sobie długą, czarną jedwabną suknię, a w uszach proste kolczyki z diamentami.

– *Mamma* – powiedział Diego po hiszpańsku – chciałbym ci przedstawić moich przyjaciół, to *Señora* Rose Cameron, *Señor* Vincent Stolarski i *Señorita* Annamaria Bannister.

– *Mucho gusto* – odparła *Doña* Elena. – Mój angielski jest słaby, ale będę się starała.

– A to mój brat, Carlos – przedstawił Diego.

Carlos Ortiz, kilka lat starszy od Diego, był trochę niższy i cięższy od swojego młodszego brata. Elegancko ucałował na powitanie dłoń Rosy, uścisnął prawicę Vince'a i stanął przed Annmarie.

– Brat wiele mi o pani opowiadał i, jak widzę, nic a nic nie przesadził. Będziemy siedzieć koło siebie przy stole, dobrze?

– Nie – zaprotestował Diego – zachowuj się, Carlos, albo powiem wszystko Gabrieli... – Powiedziawszy to – groźnym tonem, uśmiechnął się do brata, a potem do wszystkich zebranych.

– Gabriela też chciała być tu z nami, ale akurat podarowała memu bratu ósmego potomka i nie mogła przyjechać...

– Ósmego?! – Vince złapał Carlosa za rękę. – Moje gratulacje!

– Nigdy nie mógł pojąć, że kiedyś należy skończyć.

– Ktoś musi utrzymać ciągłość naszego rodu, braciszku.

– W tobie zatem pokładamy wszelkie nadzieje. Ale jeżeli pojawi się w moim życiu jakaś odpowiednia kobieta, to, kto wie?... No, ale chyba czas na małe *aperitivo*, prawda?

Dla uczczenia przyjścia na świat nowego dziecka otwarto butelkę szampana. Kiedy wszyscy zaczęli rozmawiać o dzisiejszej *corridzie*, Annmarie akurat siedziała koto matki Diego.

– Nie lubisz rozmawiać o walkach z bykami?

– Obawiam się, że nie bardzo.

– I nie oglądałaś jego dzisiejszej walki?

– Nie, *Señora*, nie oglądałam.

– To dlatego, że jesteś *norteamericana*, nie rozumiesz tych walk.

– Nie, to chyba nie dlatego.

– Ja wszystko rozumiem, ale nie chodzę tam, kiedy Diego walczy. – *Doña Elena* zamilkła na chwilę i przyglądała się uważnie milczącej Annmarie. Po chwili dodała:

– To dlatego dziś tam nie poszłaś? Bo Diego walczył?

– Tak, właśnie dlatego.

– Tak... – pokiwała w zamyśleniu głową *Señora Elena*. – Sama nigdy nie widziałam go na arenie. I nigdy nie zobaczę. Nie mogę znieść widoku, jak naraża własne życie, – bo go kocham. Czy ty też dlatego nie możesz na to patrzeć, bo go kochasz?

– *Señora Ortiz*. Ja...

– Kochasz mojego syna, *señorita*?

– Tak, kocham Diego.

– Więc? – przerwała na chwilę. – Przecież to oczywiste, że on też cię kocha, więc, moja droga, dlaczego mój syn jest taki nieszczęśliwy?

– Wszystko to wydarzyło się tak szybko, *Señora*... Diego i ja różnimy się bardzo. Inaczej byliśmy wychowywani, nasza kultura, nasze... Nawet nasz język jest inny. Są takie chwile, kiedy nie rozumiemy, co do siebie mówimy.

– Ale jeżeli kochasz, musisz nauczyć się słuchać sercem – odparła *Señora Elena*. – To właśnie jest miłość, moje dziecko, słuchanie sercem. A ilu ludzi mówi tym samym językiem, a nie rozumieją się nawzajem. Jeżeli ty i Diego kochacie się, to tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie. Czy on cię już poprosił o rękę?

– Nie, jeszcze nie rozmawialiśmy o małżeństwie...

– No to czas najwyższy, żebyście porozmawiali. Diego ma już prawie trzydzieści trzy lata. – *Doña* Elena uśmiechnęła się. – Ranczo będzie dobrym miejscem na założenie rodziny, doskonałym do wychowywania dzieci. I nie bój się, nie wszyscy moi synowie są jak Carlos. I nie wszystkie kobiety są takie jak Gabriela. – Zniżyła głos do szeptu. – Mam nadzieję, moja droga, że nie pozwolisz, żeby mój syn wyjechał z Santa Catariny bez ciebie.

Zanim Annmarie zdołała cokolwiek odpowiedzieć, Juanita dała znak, że kolacja jest już gotowa. Przyszedł Diego, ujął matkę i Annmarie pod ramię i poprowadził do stołu.

Doña Elena zasiadła u szczytu stołu, Carlos po jej prawej stronie, Diego po lewej. Muzykanci grali w drugim końcu jadalni, a Juanita zaczęła podawać różne smakołyki.

Przekrzykując narastający gwar, Diego zwrócił się do Annmarie:

– Mam nadzieję, że się dobrze bawisz. To jest takie typowe rodzinne przyjęcie...

– To wspaniałe przyjęcie, Diego. – Spojrzała na jego matkę i uśmiechnęła się. – Twoja matka bawi się chyba doskonale.

– Mama uwielbia takie rodzinne okazje do świętowania. Widziałem, że już rozmawiałyście. Czy ci wytłumaczyła, jaki to ze mnie fajny facet?

– Oczywiście – roześmiała się Annmarie. Nagle jej uśmiech zamarł na ustach, bo wydawało się jej, że poprzez muzykę, gwar i hałas przedziera się do niej echo słów jego matki: „Jeżeli kochasz, musisz nauczyć się słuchać sercem”.

– Co się stało, Querida?

Diego pochwycił jej dłoń.

– To nic takiego, nic... – pokręciła przecząco głową. Ale wiedziała, że coś jednak się stało i zanim skończy się ta noc, będzie musiała mu wszystko opowiedzieć.

Rozdział 9

Kiedy Annmarie i Diego opuścili patio i ruszyli ścieżką w stronę pastwisk, jeszcze słyhać było dźwięki muzyki. Powoli i te rytmiczne tony ucichły. Liście drżały na wietrze, który niósł ze sobą zapach koniczyny i rozkwitającego nocą jaśminu. Gdzieś z oddali dobiegało ich ujadanie psów i samotne wycie kojota.

– Uwielbiam to ranczo – powiedział Diego. – Zawsze tu przyjeżdżam, kiedy czuję się zmęczony. Tu osiądę, kiedy już przestanę walczyć.

Annmarie usłyszała nutę smutku w jego głosie.

– I tu będziesz hodował następne byki, dla innych matadorów.

– Tak, dla innych...

Upłynęło kilka minut, zanim Diego znów się odezwał.

– Ale tu, na ranczo, będzie *tientas*, to znaczy takie miejsce, gdzie sprawdza się odwagę młodzieży. Schodzą się wtedy sąsiedzi, zaprzyjaźnieni matadorzy, krewni i po załatwieniu poważnych interesów pojawia się muzyka i tańce... Czasem tylko ktoś z *abicionados* próbuje swych sił z muletą.

Diego pokazał jej coś, co znajdowało się po prawej stronie. Annmarie wyteżyła wzrok i dostrzegła zarys jakiejś konstrukcji. Była to arena dla byków, własność jego rodziny. Z powodu srebrzystej poświaty księżycy należało podejść bliżej, by ją wyraźnie zobaczyć. Była opustoszała. Annmarie wyobraziła sobie, że stoi tam Diego, otulony w swoją pelerynę, a naprzeciw niego byk z wielkimi, białawymi rogami. Kiedy podeszli do samej areny, Diego puścił jej dłoń i wspinał się na ogrodzenie. Wiedział, że muszą porozmawiać, ale chciał jak najdłużej odwlec moment rozpoczęcia tej rozmowy. W końcu jednak odwrócił się do niej i zaczął:

– W zeszłym tygodniu poprosiłem cię, żebyś pojechała ze mną do Hiszpanii. Nie wspominałem wtedy o małżeństwie, bo pomyślałem sobie, że mogłabyś poczuć się jeszcze bardziej zakłopotana i zwlekałabyś z odpowiedzią. Wymyśliłem sobie, że jeżeli zaczniemy naszą znajomość bez żadnych krępujących więzów, bez wzajemnych zobowiązań, to może nie będziesz się tego tak bała. Ale pomyliłem się, Annomario. Nasza miłość nie jest czymś ulotnym, chwilowym, to na całe życie.

– Diego...

– Nie, pozwól mi skończyć. Kocham cię i chcę się z tobą ożenić. Wszystko

być może rozegrało się bardzo szybko, ale to nie znaczy, że jest choćby trochę mniej prawdziwe. Wiem, że obawiasz się tych walk z bykami, ale przecież moje zajęcie nie będzie trwało wiecznie. Obiecałem sobie, że wycofam się za pięć, sześć lat. Teraz taką samą obietnicę składam tobie.

– Nie chodzi tylko o te walki – odparła Annmarie. – Bardzo się różnimy. We wszystkim. W sposobie myślenia, patrzenia na świat.

Jego twarz stężała.

– Czy to nie dziwne, że ty dostrzegasz jedynie różnice, a ja widzę tylko podobieństwa? – Oparł się o ogrodzenie. Nie obiecuję, że nasze małżeństwo będzie łatwe i przyjemne, przynajmniej przez kilka pierwszych lat, kiedy większość czasu będę spędzał w drodze. Mam już podpisane następne kontrakty w Kolumbii i w Wenezueli. Jadę tam zaraz po skończeniu walk w Hiszpanii. Mogłabyś oczywiście zamieszkać tu, na ranczu, ale, prawdę powiedziawszy, wolałbym, żebyś podróżowała razem ze mną. To jest trudne życie, Annomario, ale proszę cię, żebyś zechciała dzielić je razem ze mną. Proszę cię, żebyś wyszła za mnie. Zrobisz to? Zostaniesz *Señora* Annemarią Ortiz?

Wiedziała, że oto nadszedł moment prawdy, ale zupełnie nie była przygotowana na tę chwilę. Ciszę nocy przerwał krzyk lelka kozodoja.

Słuchaj sercem, tak powiedziała jego matka.

– Małżeństwo... – Przerwała, odetchnęła głęboko. – Diego, małżeństwo to coś tak trwałego, a jednocześnie trudnego. Kiedy jest nieudane, może powodować dużo bólu i cierpienia. Wiem, bo widziałam małżeństwo swoich rodziców. A ty i ja... myśmy się dopiero spotkali. Nie rozumiem tak wielu spraw związanych z tobą, z twoją ojczyzną. – Dotknęła jego twarzy – Nie, chyba jeszcze w tej chwili wolę nie rozmawiać o małżeństwie... Oczywiście pojedę z tobą do Hiszpanii, jeżeli jeszcze tego chcesz. Przedłużę swój urlop w pracy i... i zobaczymy, co z tego wyniknie. To znaczy, że jeżeli wciąż czujemy... – Dostrzegła dziwny wyraz jego twarzy i zamilkła. On pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie, *querida*, ja chcę zdobyć miłość na całe życie, nie interesują mnie układy na krótką metę. Trafiło nam się coś niezwykle rzadkiego... Czy nie możesz po prostu zdać się na uczucie?

– Moi rodzice ufali uczuciom, które żywili do siebie, a ich małżeństwo okazało się katastrofą...

– Ale my nie jesteśmy tacy sami, jak twoi rodzice, Annomario. To, że ich małżeństwo nie udało się, nie może przesądzać o przyszłości naszego związku. –

Objął ją mocno, tak, że czuł bicie jej serca. Ale nawet nie próbował jej – pocałować. Kiedy wreszcie ją puścił, przyjrzał się jej uważnie i powiedział:

– Czekam na twoją odpowiedź.

Na jego twarzy pojawiły się nowe cienie, wywołane silną poświatą księżyca. Bardzo chciała znów znaleźć się w jego ramionach, ale wiedziała, że jeżeli to nastąpi, będzie zgubiona.

– Nie mogę – wyszeptała z trudem. – To zbyt wcześnie, jak dla mnie. Małżeństwo jest ostatecznym rozwiązaniem.

– Łzy potoczyły się po jej policzkach. – Przepraszam, ale nie mogę.

Oczekiwanie przedłużało się. Dzieci zaczynały się robić nieznośne. Chłopcy biegali i hałasowali, dziewczynki chichotały. Pięcioletni Pablo, któremu brakowało dwóch przednich zębów, a włosy sterczały na wszystkie strony, przychodził co pięć minut i pytał, kiedy wreszcie przyjadą lody.

– Jesteś niegrzeczny – odpowiadała, jak zwykle pedantyczna, Aurora.

Annmarie zerknęła na zegarek. Lody miały być dostarczone o drugiej trzydzieści, a były już prawie godzinę spóźnione. Spojrzała na siedzącą najbliżej niej Maję.

– Lody będą tu lada moment. – Powiedziała to z przekonaniem, choć naprawdę miała poważne wątpliwości.

– Oczywiście, że tak, to tylko małe spóźnienie. To wszystko. – Poparła ją siostra Dolores.

Lada moment. Za chwilę może zjawić się Diego, żeby zabrać ją na corridę. Nie chciała sprawiać dzieciom zawodu, ale pragnęła pójść tam z Diego, bo to był pewnie ich ostatni dzień razem.

Zeszłej nocy wrócili ze spaceru do domu bez słowa. Kiedy weszli do patio, znów rozległy się dźwięki muzyki.

– Zatańczymy jeszcze raz, Annomario?

Nie czekając na jej odpowiedź objął ją i, na skąpanym w księżycowym blasku patio, zaczęli tańczyć meksykańskiego walca. Kiedy taniec się skończył, Diego powiedział:

– Do końca życia będę tęsknił za tobą i żałował, że nie możemy być razem.

Puścił ją, ale zanim weszli do domu, dodał jeszcze:

– Nie widzę jednak powodu, żebyśmy mieli zmieniać nasze plany na jutro. Przyjadę po ciebie do sierocińca o trzeciej trzydzieści.

Annmarie spojrzała na zegarek – właśnie dochodziło wpół do czwartej.

– Kiedy będą lody? – spytał znowu Pablo i dokładnie w tym momencie rozległo się stukanie kołatki przy drzwiach wejściowych. Pablo krzyknął z radości i rzucił się w tamtą stronę, a za nim korowód rozkrzyczanych, podekscytowanych dzieci. Pablo pierwszy dobiegł do drzwi, otworzył je, wziął się pod boki i przyglądał Diego. Potem wyrzwał na ulicę i spytał poważnym tonem:

– A gdzie są nasze lody?

– A co, nie ma lodów? – zdziwił się Diego, wchodząc do środka. Spojrzał na Annmarie. – Co się stało? Myślałem, że o tej porze przyjęcie miało już dobiegać końca.

– Nie pojawił się człowiek z lodziarni. – Pokręciła głową z niezadowolaniem. – Przepraszam, Diego, ale nie mogę iść z tobą na corridę. Muszę wyjść i znaleźć jakieś lody dla nich.

– Nie, poczekaj, ja to załatwię. A czy ty i kilku kolegów moglibyście pójść ze mną i pomóc? – zwrócił się do Pabla.

Oczy chłopca rozszerzyły się ze zdziwienia. Spojrzał pytająco na siostrę Dolores. Po raz pierwszy tego dnia całkowicie odjęło mu mowę. Patrzył zdziwiony to na Diego, to na opiekunkę.

– Oczywiście – odparła z uśmiechem – możecie iść z tym panem.

– Wrócę najszybciej, jak tylko się da.

I rzeczywiście, nie minął kwadrans, kiedy znów rozległ się stukot kołatki. Tym razem otworzyła siostra Dolores. Pablo i trzech inni chłopcy wpadli do środka, a za nimi wszedł Diego i jeszcze dwóch innych mężczyzn prowadzących wózki z lodami.

– To powinno wystarczyć – powiedział Diego. do Annmarie.

W powietrzu brzmiał chór dziecięcych podziękowań. Annmarie spojrzała na zegarek. Była za dziesięć czwarta.

– Możemy już iść – zdecydowała.

Diego pokręcił przecząco głową.

– Pablo wyznał mi, że nigdy jeszcze nie był na walkach z bykami. Pomyślałem, że moglibyśmy zabrać go ze sobą. I wszystkie inne dzieci, które chciałyby z nami pójść. Rozmawiałem już z zarządcą areny, obiecał, że poczekają na nas z rozpoczęciem zawodów. – Spojrzał na siostrę Dolores. – Mam nadzieję, że siostra nie ma nic przeciwko temu. To ostatni dzień fiesty. Pomyślałem, że dzieciom może to sprawić tyle radości, ile sprawia innym mieszkańcom Santa Catariny. Siostra, rzecz jasna, też jest zaproszona.

– Przyjmuję pańskie zaproszenie, *Señor* Ortiz. Nie widziałam corridy, od kiedy wstąpiłam do zakonu.

Annmarie nie wiedziała, co powiedzieć. Pomagała Diego przy rozdawaniu lodów, czekoladek i ciasteczek. Przyglądała się, jak wziął na kolana trzyletnią dziewczynkę i pomagał jej jeść łyżeczką lody czekoladowe. Tak słodko do niej mówił, miał takie delikatne ręce...

Annmarie czuła, że coś kłuje ją pod sercem, wytarła , brodę Mai i zauważyła, że drżą jej ręce.

Piętnaście minut później szli całą grupą ulicami Santa Catariny w stronę areny. Pięćdziesięcioro kilkoro roześmianych, pełnych emocji, gadających bezustannie dzieci, ubrana w czarny habit zakonnica, Annmarie i Diego. Diego niósł na ramieniu trzyletnią dziewczynkę, a Annmarie prowadziła za rączkę Maję.

Kiedy doszli do areny, Diego wręczył bileterowi całą rolkę biletów i cała grupa, parami, z dumnie podniesionymi głowami przeszła do pierwszych trzech rzędów, tuż przed areną. Rozległ się dźwięk rogu. Pablo pochylił się do przodu i chłonał wszystko szeroko otwartymi oczami.

– Spodziewam się, że to będzie bardzo ciekawe widowisko – powiedziała egzaltowanym tonem Aurora.

Na arenę wjechał *alquacil* na pięknym, czarnym koniu. Maja zaczęła klaskać. Kiedy matadorzy stanęli w pełnym słońcu, dzieciom zapało dech. Przez całą corridę wydawały pełne zachwyty dźwięki i krzyczały ze wszystkimi *Ole!* Nawet siostra Dolores raz czy dwa zerwała się na równe nogi z okrzykiem: *Bravo! Bravo!*

Annmarie przyglądała się, jak Diego, otoczony wianuszkami chłopców, cierpliwie wyjaśniał im poszczególne tajniki corridy. I wtedy nagle zrozumiała, że ich radość i przyjemność z oglądania corridy była tak naturalna, jak uśmiech i zainteresowanie chłopców w Stanach na widok dobrego meczu baseballa. To była część ich dziedzictwa...

Pod koniec corridy Diego spojrzał na Annmarie. Uśmiechnął się do niej nad główką dziewczynki, która zasnęła w jego ramionach. Na ten widok zamarło w niej serce, czekała. Jego oczy wyrażały wszystko, co czuł.

Annmarie zrozumiała, że nie zdoła zagłuszyć w sobie miłości, jaką go darzyła. Chciała podejść do niego, przytulić się, ale ponieważ w tej chwili było to niemożliwe, tylko uśmiechnęła się ciepło i szczerze. Miała nadzieję, że on dostrzeże w tym uśmiechu cały ogrom jej uczuć.

Po skończonej corridzie wszyscy razem wrócili do sierocińca. Kiedy stali przed drzwiami, Diego powiedział:

– Teraz wyjeżdżam na kilka miesięcy, ale kiedy wrócę, to was odwiedzę i, jak będzie corrida, znów razem pójdziemy popatrzeć.

Pogłaskał Pablo po głowie i roześmiał się, kiedy zauważył, że niesforne włosy chłopca nadal sterczą we wszystkich kierunkach.

– Do zobaczenia, *muchacho*.

Ulica wydała się bardzo cicha, kiedy już nie było w pobliżu dzieci. Diego chciał wziąć Annmarie za rękę, ale nie zrobił tego. Dziś dostrzegł coś takiego w jej twarzy, co znów rozbudziło jego nadzieje. Ale bał się odezwać, ze strachu, że wszystko to mógł sobie tylko wymyślić... Szli w milczeniu jeszcze jakiś czas, aż wreszcie nie wytrzymał i powiedział:

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zjeść taką wcześniejszą kolację. – Zaprowadził ją do małej restauracyjki na jednej z bocznych uliczek.

Kelner wskazał im stolik w rogu pogrążonej w półmroku sali. Kiedy już przyjął ich zamówienie i odszedł, Diego zagaił:

– To było bardzo udane popołudnie, prawda?

– Tak, bardzo udane, dzięki tobie. – Spojrzała na niego ponad migotliwym blaskiem świecy. – Jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Diego czekał.

– Pomyliłam się... – zaczęła Annmarie. – Właściwie nic nas nie różni, nie ma między nami poważnych różnic – poprawiła się.

– Annomario?...

– Jej oczy błyszczały od łez, których nie potrafiła już dłużej ukrywać, sięgnęła po jego dłoń.

– Twoja mama powiedziała mi, żebym nauczyła się słuchać sercem. Zdaje się, że wreszcie dzisiaj to mi się udało.

Mocniej ujęła jego dłoń.

– Jeżeli wciąż jeszcze mnie chcesz... jeżeli chcesz, żebyśmy się pobrali...

Wystraszył się, że jego serce eksploduje z radości po tym, co usłyszał. Nie wiedział, co powiedzieć. Potrafił tylko powtarzać:

– Anno... Annomario...

Potem wstał i obszedł stolik, żeby wreszcie porwać ją w ramiona.

W starym, kamiennym kościele, stojącym przy głównym placu, odbył się jeszcze jeden ślub. Panna młoda miała na sobie jasnoniebieską sukienkę i

stokrotki we włosach. Trzymała pana młodego pod ramię i uśmiechała się do niego, kiedy wychodzili z kościoła w deszczu ryżu i płatków róż. Zagrały dzwony na wieży, gnieźdzące się tam gołębie uciekły w popłochu i wzbiły się wysoko w niebo. Krążyły ponad drzewami i dachami domów, sprawiały wrażenie niemal białych na tle błękitu nieba.

Za parą nowożeńców szli, trzymając się pod rękę, Vince i Rose. Za nimi *Doña* Elena z bratem Diego, Cariosem, i dalej przyjaciele, *abicionados* i cała grupa roześmianych dzieci z Casa del Hogar.

– To był wspaniały ślub – powiedział Carlos, kiedy całował Annmarie w oba policzki. – Jesteś piękną panną młodą.

Energicznie potrząsnął dłonią brata.

– *Felicidades, mano*. Życzę wam wielu lat wspólnego, szczęśliwego życia i mnóstwo dzieci...

– Ale na pewno nie dorównamy tobie w tym względzie. .. – Diego roześmiał się. Mocniej ścisnął dłoń Annmarie i spojrzał na nią. W jego oczach była tylko miłość...

– I wyjeżdżacie jutro do Mexico City? – spytała Rose.

– Tak. – Annmarie kiwnęła głową – A pojutrze wyruszamy do Hiszpanii. Wrócimy tu na wiosnę, kiedy...

– *Se nora* Ortiz! – Gruby ksiądz, który udzielał im ślubu, zbiegał po schodach, trzymając w ręku zwinięty papier.

Annmarie rzuciła na niego okiem, a potem znów zaczęła rozmawiać z Rose.

– *Señora* Ortiz! – odezwał się ksiądz ponownie.

Annmarie szukała wzrokiem matki Diego, nie zauważyła, że wszyscy przyglądają się jej i uśmiechają tajemniczo. Wreszcie odezwał się Diego:

– Kochanie, *padre* mówi do ciebie...

– Ach tak? – W pierwszej chwili była zdezorientowana, ale zaraz wybuchnęła radosnym śmiechem i podeszła do *padre*, żeby odebrać z jego rąk dokument potwierdzający zawarcie małżeństwa.

Wiedziała, że od tej pory jest *Señorą* Annemarią Ortiz i nie wyobrażała sobie, żeby mogła być szczęśliwsza...